ŁOWIEC POLSKI



Na rykowisku — *rys. S. Rozwadowski.*

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 10 (959) **Październik — 1948 r.** **Cena zł 50**

Rok 50-ty wydawnictwa

Do wszystkich Wojewódzkich Rad Łowieckich zostały wysłane następujące pisma okólne z dn. 31 sierpnia r. b.

Nr. 1341/III/48

dot.: sposobu wykonywania polowania

Do

Wojewódzkiej Rady Łowieckiej ....

(Z prośbą o podanie do wiadomości wszystkim członkom Polskiego Związku Łowieckiego przez Wojewódzkie i Powiatowe Rady Łowieckie.)

Stosownie do uchwały Walnego Zgromadzenia Polskiego Związku Łowieckiego z dnia 8 b. m. zarządzam dla podniesienia zwierzostanów krajowych, stanowiących bogactwo narodowe oraz poważny artykuł eksportowy Państwa, co następuje:

1. zabrania się polowania na pomyka, oraz ławą czeską (sztrajfą) na zające,
2. zezwala się polować w kotły na zające na następujących zasadach:

a) przy polowaniu w kotły należy brać conajmniej 2 naganiaczy na każdego myśliwego,

b) na każdym łowisku wolno jest polować na zające tylko jeden raz w roku, przyczym 1/3 tego terenu ma pozostać nieopolowana jako matecznik,

c) każde Kółko Łowieckie zarządzi na swych terenach jedno polowanie próbne na zające w polu sposobem pędzenia (naganki),

d) w stosunku do indywidualnych dzierżawców urządzenie takiego próbnego polowania na zające w polu sposobem pędzenia (naganki) zarządzi Powiatowa Rada Łowiecka.

Za niestosowanie się do powyższych przepisów stosowane będą jako sankcje karne w stosunku do Kółek (Stowarzyszeń) Łowieckich oraz członków Polskiego Związku Łowieckiego zawieszenie w prawach członkowskich do końca 1949 roku.

Jednocześnie przypominam o uprzednio wydanych już zarządzeniach, obowiązujących Kółka Łowieckie i członków Polskiego Związku Łowieckiego, którymi są:

a) zakaz strzelania przez członków Polskiego Związku Łowieckiego do zwierzyny płowej śrutem i loftkami,

b) zakaz polowania wszelkimi sposobami na zwierzynę płową w odległości mniejszej niż 200 metrów od skraju lasu, w którym dany myśliwy nie posiada prawa polowania.

Za dopilnowanie wykonania powyższych zarządzeń czynię odpowiedzialnych Łowczych Wojewódzkich, Łowczych Powiatowych i łowczych Kółek Łowieckich.

Prezes Polskiego Związku Łowieckiego
(Prof. Dr. Bolesław Szarecki)
Generał Dywizji

Nr. 1342/III/48

dotyczy: składki członkowskiej na rok 1949.

Do

Wojewódzkiej Rady Łowieckiej ....

Stosownie do uchwały Walnego Zgromadzenia Polskiego Związku Łowieckiego z dnia 8 b. m. podaję do wiadomości wszystkich członków Związku, iż wysokość składki członkowskiej na rok 1949 ustalona została na

zł. 1.200.—

dla wszystkich członków Polskiego Związku Łowieckiego, a to zarówno dla osób cywilnych, jak wojska, leśników, milicji itp.

Dla uczącej się młodzieży zachowane będą 50% ulgi w opłacie składek, jednak w formie dotacji Wojewódzkiej Komisji Młodzieżowej, która pokrywać będzie pozostałe 50% składki z własnych funduszów.

Rozdział składek ustalony został następujący:

Rada Naczelna	200 zł. —
Rada Wojewódzka	250 zł. —
Rada Powiatowa	300 zł. —
Łowiec Polski	450 zł. —

Ostateczny termin płacenia składek członkowskich za rok 1949 upływa z dniem 31.III z tem, że w myśl uchwały tegoż Walnego Zgromadzenia, zalegający z opłatą składek członkowskich nie będą mogli być przyjęci spowrotem w poczet członków Polskiego Związku Łowieckiego w ciągu roku 1949.

Proszę o podanie tej uchwały przez Łowczych, Podłowczych i Rady Powiatowe do wiadomości członków Polskiego Związku Łowieckiego oraz do wszystkich Kółek Łowieckich w terenie.

Prezes
Polskiego Związku Łowieckiego
(Prof. dr. Bolesław Szarecki)
Generał Dywizji

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 10 (959) 1948 październik



Kapitalny byk *fot. Z. Kowalski*

BOLESŁAW ZARZYCKI.

NA KRAŃCACH SYBIRU

Julian Ejsmond, w przedmowie do jednej z książek Curwooda, tak mówi o umiłowaniu przyrody i namiętności do włóczęgi:

...„przyroda czaruje i zachwyca jak kwiat, porywa jak fala, by unieść nas w krainy nieznane. Przyroda, to słodka kusicielka, która nie daje nam spać po nocach. Serce dziewicze kniei pociąga ku sobie myśliwca, jak serce kochanki, wabi i pieści wyobraźnię, czaruje tysiącami przygód, których tak się łaknie jak świeżego powietrza, jak słońca..."

Tak jest istotnie. Przyroda pociąga ku sobie jak kochanka i ten jej zew, ta zaczarowana wymowa jej piękna w dzikiej, pierwotnej naturze, oddziaływa na człowieka jak narkotyk, budzi nieodparte pragnienie pójścia w jej objęcia, jak często zdradzieckie, których słodycz niejeden już myśliwy na Syberii życiem przypłacił.

Nie mogłem i ja oprzeć się tej pokusie. Zdawało by się, że uciech łowieckich miałem już dość, włócząc się od kilku lat po bezbrzeżnych obszarach stepów azjatyckich i bezludnej tajdze syberyjskiej, czy to pieszo, czy w kulbace kozackiej, to znów czółnem, czy w „tarantasie" *), a nawet niekiedy w skleconej naprędce tratwie, a zawsze ze strzelbą na ramieniu i „Naganem" za pasem, w poszukiwaniu nowych wrażeń łowieckich, w pogoni za nowymi przygodami. Czułem, że Syberia staje mi się po prostu za ciasna.

Nęcił mnie od pewnego czasu kraj inny, bardziej pierwotny i egzotyczny niż Syberia, a leżący po tamtej stronie Gór Sajańskich. Był on dla mnie lądem nieznanym, przedzielonym od Syberii szerokimi pasmami ciągnących się na setki kilometrów łańcuchów górskich, których dziwaczne kształty, powleczone mgłą sinej dali, majaczyły na widnokręgu. Widok ten budził we mnie uczucie ni to strachu, ni to niepewności, a jednocześnie nieodparcie przykuwał ku sobie. Toteż coraz częściej wodziłem tęsknym wzrokiem po dalekim horyzoncie, płynącym jak fala ciemno-granatową smugą tam gdzieś hen! — w nieskończoność.

Niejednokrotnie zadawałem sobie pytanie — dlaczego ten dziki, pustynny kraj tak mnie pociąga ku sobie? Wówczas nie znajdowałem na nie odpowiedzi. Czułem tylko, że jakaś nieokiełznana moc, jakaś nadprzyrodzona magiczna siła, jakby drgającego w oddali nieuchwytnego błędnego ognika, wabiła mnie ku sobie, kusiła obietnicami nadspodziewanych rozkoszy, parła w objęcia kochanki-włóczęgi. Był to czar nadziei nowych przeżyć łowieckich na tle nieznanej, a jakże powabnej, w mojej wyobraźni, pierwotnej natury, czar spodziewanych dreszczy, zrodzonych niebezpieczeństwami, czar — oddychania po prostu innym, nowym, tamtym powietrzem.

Dzisiaj, z perspektywy wielu lat, wiem i rozumiem, dlaczego tacy „wieczni — tułacze", jak Curwood czy Sowa — Grey lub nasi Grąbczewski czy Ossendowski, żyli tylko myślą o podróżach. Podróże były ich, jak również i moim żywiołem, który pochłaniał człowieka całkowicie, poza którym życie nie miało żadnego uroku, żadnych pragnień, żadnych zainteresowań.

A tymczasem dochodziły mnie słuchy, podawane z ust do ust przez nielicznych myśliwych i poszukiwaczy złota, którzy zapuszczali się nie tylko w głąb Gór Sajańskich za sobolami i gronostajami, ale i dalej poza granice tych gór, o fantastycznych tam bogactwach różnego zwierza, ptactwa dzikiego i ryb. Na mapie, którą oglądałem niezliczoną ilość razy, wiedziałem już na pamięć, gdzie się znajduje to czy inne większe wzgórze, ta czy inna przełęcz lub rzeka. Zaciekawienie moje rosło i potęgowało się jeszcze tym, że na mapie strony tamtejsze wyglądały, w porównaniu do tutejszych miejscowości, jako kraj zupełnie bezludny, więc coraz bardziej trwałem w przekonaniu, że tam się kryje raj dla myśliwego, „Ziemia Obiecana" dla przyrodnika i podróżnika.

Istotnie — „za górami, za lasami...", jak to mówi wieczna legenda, rozpościerał się Kraj Usiński, stanowiący „pograniczny okręg", nazwany tak od rzeki Usy, dopływu górnego Jenisieja, jednej z największych rzek Wschodniej Syberii. Dalej w głąb lądu, bardziej ku południowi, już poza rozległą doliną rzeki Usy, rozpoczynał się Kraj Urianchajski, jako integralna część właściwej Mongolii. Władzę nad Krajem Usińskim sprawowała ówczesna Rosja carska, natomiast Kraj Urianchajski był pod protektoratem Chin i pieczę nad nim miał jeden z gubernatorów chińskich, tak zwany „Ambań-nojon". Ludność tubylczą, tu i tam, stanowili Sojoci, szczep mongolski, na wpół dziki, koczowniczy. Zajęciem ich było pasterstwo, polowanie i rybołówstwo a tylko gdzie niegdzie zajmowano się uprawą ziemi w stopniu bardzo prymitywnym.

Poza krajowcami rozrzucone były po kraju bardzo nieliczne chutory, czyli fermy kolonistów rosyjskich, tak zwane „faktorje". Były to oazy wśród oceanu stepów dziewiczych, o wyglądzie coś w rodzaju starożytnych warowni, opasanych palisadą lub wałem z ziemi, ze strzelnicami po rogach, strzeżonych przez uzbrojonych ludzi i bardzo złe psy. Znana była wówczas jedna z większych faktorii w Kraju Usińskim, należąca do kupca Safianowa, o którym mówiono, że się wzbogacił na handlu wymiennym z krajowcami i dzięki szczęściu w poszukiwaniach złota. Charakter taki miały te osiedla dlatego, że po kraju włóczyły się liczne bandy rozbójnicze, rekrutujące się ze zbiegów z katorgi syberyjskiej, dezerterów wojska chińskiego i zwykłych chunchuzów. Toteż dla własnego bezpieczeństwa musiały faktorie opłacać suty haracz przywódcom tej czy innej bandy, która uważała daną miejscowość, jakby podległą sobie, a jednocześnie płacono normalną daninę poborcom rosyjskim, czy chińskim, z tą jednak różnicą, że wszelkie rozkazy watażki bandy były wykonywane bez sprzeciwu, gdyż w razie oporu, faktorja szła z dymem, a jej mieszkańcy—pod nóż, o ile nie zdołali schronić się w okolicznych wąwozach.

Odbywanie więc podróży w takich warunkach, bez licznej, dobrze uzbrojonej ekskorty, było przedsięwzięciem bardzo ryzykownym. Mimo to, postanowiłem przejść Sajany z jednym tylko myśliwym, zagłębić się, o ile to będzie możliwe, w stepy Urianchaja, aby zapoznać się z geografią i etnografią oraz fauną i florą tamtejszych obszarów, co dałoby mi możność zebrania, a następnie opracowania materiału dla paru odczytów w Petersburgu. Dodam tutaj nawiasem, że przed rokiem, podobny odczyt już miałem w stolicy nad Newą na temat „Współczesna Syberia" 1). Niezależnie od tego, program mojej wyprawy obejmował polowania na niedźwiedzie w górach, których, sądząc z opowiadań Sybiraków, było tam dużo, a w Urianchaju — na wilki i ptactwo dzikie.

Jedynym, jak powiedziałem, moim towarzyszem podróży, miał być oczywiście nie kto inny jak wypróbowany przyjaciel syberyjski, doskonały myśliwy, „czałdon" 2) — Piotr Kuźmicz.

Miał on lat około pięćdziesięciu, był wzrostu śred-

*) Wózek pleciony, używany na Syberii.

1) Na zaproszenie prezesa „Impieratorskawo Obszczestwa Wostokowiedienia" gen.-adj. Szwedowa, co w przekładzie oznacza: Cesarskiego Towarzystwa do spraw Wschodu. Odczyt widocznie wzbudził zainteresowanie, gdyż wśród licznie zebranej publiczności zauważyłem wielu dostojników państwowych, polityków, przedstawicieli świata nauki i innych, był także obecny, bawiący w stolicy, znany pisarz i podróżnik, gen. Grąbczewski, z którym przeprowadziłem dłuższą rozmowę.

2) „czałdon"— oznacza w gwarze tamtejszej rodowitego, z dziada-pradziada, sybiraka.

niego, silnej budowy, ruchy powolne, jakby ociężałe; był małomówny, z natury nieufny do ludzi, których dobrze nie poznał. Nosił długą brodę w formie łopaty, nigdy nie czesaną i duże, spadające wąsiska; zarost był tak splątany — a ściślej mówiąc — skołtuniony, że twarzy prawie nie było widać a wyzierały tylko oczy o łagodnym, dobrotliwym spojrzeniu. Przyzwyczajeniem Piotra było to, że stale trzymał w zębach sporą fajkę własnej roboty, z której ustawicznie „pykał".

Trzeba nadmienić, że tytoniu używał również nie tylko własnego wyrobu, ale i swego wynalazku, na który składały się rozmaite liście i korzonki, zbierane przez niego w tajdze i jemu tylko znane, zupełnie — jak mnie się wydawało — nie tytoniowego pochodzenia, zaprawiane jedynie dla „aromatu", jak mawiał, słynną rosyjską machorką. Dym z jego fajki miał rzekomo służyć jako radykalny środek od natrętnych muszek i komarów, których roje stanowiły istną plagę, prześladującą niemiłosiernie w przeciągu całej doby każdą żywą istotę w tajdze. Niejednokrotnie od dymu tej fajki, w małym naszym namiocie podczas niepogody, dostawałem zawrotu głowy. Drugą osobliwością Piotra Kuźmicza było to, że on nigdy na noclegach w puszczy nie układał się do snu na posłaniu z gałęzi jodłowych czy innych, jak ja to czyniłem oraz inni myśliwi. Wystarczało mu w zupełności usiąść pod drzewem, oprzeć na kolanach brodę i w takiej pozycji „przespać się" do świtu, nie rozstając się ani na chwilę ze swoją ulubioną fajeczką. Przez okrągły rok, nie wyłączając lata, nosił Piotr futrzaną czapę z nausznikami, pospolicie zwaną „sibirką". Pozatym, miał ten dobroduszny oryginał swoistą filozofię, z którą podchodził do przeróżnych zjawisk i zagadnień, spotykanych w tak rozmaitych warunkach codziennego życia. Podziwiałem nieraz jego równowagę duchową, niezmąconą żadnym wypadkiem czy wydarzeniem, o które wszak nie trudno było w życiu koczowniczym, jakie prowadziliśmy w tajdze. Lecz co było w nim najistotniejszego, za co go niezmiernie ceniłem i lubiłem, to — złote serce; przywiązanie zaś jego do mnie, czego niejednokrotnie dawał dowody, było niekiedy wprost wzruszające. Jemu zawdzięczam, że nie przeniosłem się już dawno „w krainę cieni", a, co najmniej, że nie jestem kaleką. Był on mi niańką i opiekunem, a zarazem przyjacielem i powiernikiem moim. Stanowił on typ solidnego sybiraka, który, niestety, już wówczas zanikał na Syberii, może pod wpływem nowego, odmiennego, a często i ujemnego elementu pod względem moralności, jakim byli wciąż napływający koloniści z Rosji Europejskiej 3).

Nie żyjesz już, mój przyjacielu drogi! Lecz jeśli duch twój z zaświatów staje kiedy przy mnie, to wiedz, że nie zapomniałem cię i nie zapomnę nigdy. A w chwilach próby życia, gdy zmogą mnie przeciwności losu i ugnę się pod ich ciężarem, bądź, proszę cię, opiekunem moim, jakim byłeś zawsze wśród mrocznej tajgi.

Przygotowania nasze do drogi nie trwały długo. Przede wszystkim Piotr zabrał się do zrobienia przynajmniej tysiąca naboi śrutowych. Używane były wtedy łuski miedziane, zwykłe lub pobielane białym metalem 4). Proch dymny, najlepszej marki, tak zwany „carski", sprzedawany w blaszanych, plombowanych, funtowych, czerwonych butelkach. Śrót wyborowy był angielski — (hart-szrot). Przybitki najlepsze były fabryki Kozicyna w Jekaterynburgu, na Uralu. Ponadto jego troską było zaopatrzenie naszej „śpiżarni" w zapasy sucharów, słoniny, cukru, herbaty, soli itd. oraz odpowiednie naczynia. Moim zaś obowiązkiem było nabycie trzech młodych koni, gdyż te, które miałem, do tak dalekiej podróży, jako starsze, nie nadawały się. Gdy wszystko było gotowe, odbyliśmy krótką naradę i o świcie dnia następnego, przeżegnawszy się, wyruszyliśmy w podróż.

Było to w drugiej połowie lata. Najpiękniejsza pora w tej części Syberii. W górach pełno czarnych porzeczek o specyficznym zapachu, a bujne, soczyste trawy zapewniały obfite pożywienie naszym koniom. Jechałem na przedzie naszej „karawany", powstrzymując figlarne zapędy mojego mierzynka. Za mną stąpał koń, mając przewieszone na obie strony kulbaki wory skórzane, tak zwane „pieriemiotnyje sumy", w których znajdował się cały nasz dobytek oraz broń zapasowa i amunicja; na trzecim koniu jechał Piotr Kuźmicz w „sibirce" na bakier i z fajką w zębach. Jechaliśmy dobrego stępa przez cały dzień. A gdy w zagłębieniach falistego terenu poczęły się kłaść długie cienie, zatrzymaliśmy się na nocleg.

Zapadał zmrok i ostatnie promienie zachodzącego słońca oświeciły na chwilę, jakby reflektorem, widniejące jeszcze w oddali masywy górskie. Rzuciłem spojrzeniem w tamtą stronę i poczułem, że w głębię serca zakradł mi się smutek. Może jakieś przeczucia niedobre owładnęły mną, gdyż z natury jestem przesądny i łatwo poddaję się nastrojom, a może dlatego, że mam już taką wrażliwą, romantyczną duszę. Nie uszło to uwagi Piotra, wyczytał snać powstałe refleksje na mej twarzy, bo ni stąd, ni zowąd zaczął opowiadać jakąś przekomiczną historię, która mu się przytrafiła kiedyś na polowaniu. Wnet wrócił mi beztroski nastrój i po chwili zapomniałem o smutku, śmiejąc się wesoło razem z nim.

Jeszcze nie zgasły na niebie ostatnie gwiazdy, jeszcze gęsta mgła słała się po ziemi, gdy my kulbaczyliśmy konie, wybierając się w dalszą drogę.

— Jak sądzisz, Piotrze, kiedy będziemy na Aradanie 5) — zapytałem.

— Za kilka dni powinniśmy tam być, o ile wszystko pójdzie pomyślnie — dodał.

— A co poczniemy, gdy wezbranych potoków nie będzie można przejść w bród — zapytałem.

— Na wszystko wola Boża — odpowiedział flegmatycznie Piotr i zaciągnął się dymem z fajki.

Ku wieczorowi już podjeżdżaliśmy do podnóża gór, a nazajutrz wchłonęła nas tajga, aby już przez szereg tygodni nie wypuścić ze swych objęć.

Za drogowskaz służyła nam jedyna ścieżka, „tropą" zwana. Była ona nicią, wiążącą dwa światy — Syberię z Mongolią i Chinami. Tropa wiła się, jak wąż wśród zwartego gąszczu drzew, a była tak wązka, że trzeba było wciąż uważać, aby nie stłuc kolana o drzewo. Przy wspinaniu się w górę, potworzyły się od kopyt końskich poprzeczne wyżłobienia, napełnione brudną cieczą, powstałą z wody deszczowej; od uderzenia

3) były to czasy usilnej kolonizacji Syberii.
4) tak zwane „miedno-łatunnyja gilzy".

5) „Aradan"—jeden z wysokich, zaśnieżonych szczytów Gór Sajanu.

nogą w takie korytko, wzbija się fontanna, obryzgująca ustawicznie jeźdźca i konia. Będąc dookoła opasanym ścianą drzew, odczuwało się duszność; ciało zaczynało się pocić, a mokra bielizna, przylegająca do ciała i siatka na głowie, hamująca oddech, wywoływały zdenerwowanie i osłabienie. Jednak i siatka nie zawsze zabezpieczała od stale atakujących przeklętych muszek; przenikały one bowiem każdą szczelinę, a od bolesnych ukąszeń, występowały na ciele wielkie czerwone plamy, powodujące swędzenie skóry. Teraz dopiero mogłem się przekonać o dobrodziejskim działaniu zarostu twarzy Piotra Kuźmicza, który siatki nie używał wcale, a tylko co pewien czas ruchem ręki gładził swą brodę, dusząc w ten sposób roje zaplątanych w niej, jak w sieciach, moskitów i komarów, a dym z fajki doskonale odganiał te wstrętne owady od oczu.6)

Konie nasze, będące obficie owłosione przez naturę, nie odczuwały ukąszeń komarów, a stałym pomachiwaniem długich, bo do samej ziemi ogonów, skutecznie odpędzały je od uszu i oczu. Przyroda więc sama stworzyła warunki samoobrony w tym kraju dla ludzi i zwierząt, pomyślałem, obserwując ten nieskomplikowany sposób walki człowieka oraz konia z tym biczem tajgi.7).

Co pewien czas przegradzał nam drogę strumień, większy lub mniejszy, o wyniosłych, poszarpanych brzegach skalistych. Z hukiem, łoskotem i szumem staczających się polerowanych kamieni, pędzą spienione wody z błyskawiczną szybkością, unosząc ze sobą wszystko, co napotkają na swej drodze. Lśniące białością drzazgi zgruchotanych drzew, połamane gałęzie i wyrwane z korzeniami krzaki wirują w jakimś szatańskim tańcu, aby za chwilę zniknąć na pobliskim wirażu. Jako przejście przez taki potok, służy coś w rodzaju mostku z przerzuconych przezeń kilku zaledwie, z lekka przyciosanych, drzew, bez żadnej poręczy; o przejściu brodem, na skutek dużego spadku wezbranych wód, nie mogło być mowy.

Siedząc w kulbace, odczuwałem każde drgnienie przerażonego konia, który chwytał się kurczowo stępionymi hacelami podków oślizgłych bierwion, by nie stracić równowagi. Biedne nasze zwierzęta, aż się pociły z nadmiaru emocji i strachu, po każdym takim przejściu.

Przykre wrażenie robią małe, pochylone krzyże, postawione u brzegu potoków, pociemniałe od wilgoci i czasu, z wyrytym na nich scyzorykiem zaledwie widocznym napisem nazwiska i daty śmierci ofiary, dla której to przejście stało się grobem. Bo w tajdze śmierć czyha na każdym kroku. Albo sama przyroda jest jej sprawczynią, albo zwierz dziki śmiertelnie okaleczy, wreszcie, i to najczęściej, człowiek zada śmierć człowiekowi. I trzeba dużego doświadczenia, niemałej odwagi i stałej przytomności umysłu, aby się wywinąć w porę od jej ciosu. Toteż na postojach i noclegach jeden z nas wciąż musiał czuwać i baczyć, czy nie grozi niebezpieczeństwo. Zwykle Piotr najpierw uważnie badał teren i ślady, a przy najmniejszej wątpliwości jechaliśmy natychmiast dalej, aby uniknąć niemiłej przygody.

---

6) Sybiracy nazywają tę plagę „moszkara".

7) Zdarzały się wypadki, że pastuszek od bydła zabłąkał się w tajdze. Po kilku dniach znajdowano szkielet, ciało bowiem zostało zjedzone przez te okropne owady.

Pewnego dnia obozowaliśmy wśród malowniczo wyniosłej polany, co dało mi możność rozejrzeć się w otaczającej nas przyrodzie. Polanę zamykał pierścień dziewiczych lasów jodłowych, zwanych w narzeczu sybiraków „pichtaczami", od słowa pichta, czyli jodła. Jest to główny rodzaj drzewa gór na Syberii, czasem z domieszką brzozy lub jarzębiny czy świerka. Lasy stanowią wielkie zwarte drzewostany i tylko gdzieniegdzie trafiają się polany, lecz o tak bujnej roślinności, że człowiek prawie w nich się chowa. Pełno tutaj różnych kwiatów, hodowanych u nas w ogródkach, z tą różnicą, że są to giganty, w porównaniu do naszych roślin. Czerwone piwonie, białe astry, fioletowe floksy czy ogniste goździki rosną nie pojedyńczo, a bujnymi krzewami; wyróżniają się tylko wysmukłe, strzeliste ostróżki. Pełno też rozmaitych traw i ziół leczniczych. Na wiosnę występuje tutaj cebulkowata roślina, przypominająca nasz czosnek, którą ludność z odległych nizinnych stron zbiera i chciwie zjada. Być może chroni to ją od szkorbutu i innych chorób, które powstają jak wiadomo z braku witamin włoszczyźnianych. Na bardziej wysokich terenach górskich widzimy piękne i bardziej wyniosłe drzewo—limbę, po sybirsku „kiedra". a drzewostany takie zwą „kiedraczami". Dojrzałe szyszki limby wydają „orzeszki cedrowe", które sybiracy jedzą jak my ziarnka dyni czy słonecznika.

W pewnym miejscu wkroczyliśmy w rozległy teren, gdzie był las, lecz... martwy. Ani jednego żywego, zielonego drzewa. Były to miejsca wypalone kiedyś przez pożar. Trudno o bardziej smutny widok, jak takie cmentarzysko drzew. Spozierają ku niebu szare, pozbawione gałęzi, a nawet kory, nagie trupy leśne, a u podnóża leżą całe ich zwały, powalone przez burze. Tworzą one rumowiska o wysokości niekiedy paru pięter, a wśród nich rosną wybujałe trawy. Rumowiska takie są ulubionym miejscem niedźwiedzi i głuszców oraz wszelkiego rodzaju gadów. Panuje tutaj cisza zaiste cmentarna. Jechaliśmy przez takie „pożarysko" dzień cały i ani razu nie słyszałem, aby się odezwał ptaszek jaki czy jastrząb zakwilił.

Pewnego dnia dostrzegłem na odległość mniej więcej jednego dnia drogi, wysoki, ośnieżony szczyt.

— Aradań! — zawołałem uradowany, wskazując ręką górę.

Istotnie, był to Aradan, wyniosły szczyt górski, pokryty wiecznym śniegiem. Przyśpieszyliśmy kroku i nazajutrz weszliśmy na zaśnieżone pole, pozbawione już wszelkiej roślinności. Grubo ziarnisty śnieg miał tak twardą skorupę, że mogłem swobodnie stąpać po jej powierzchni, nie zapadając się wcale. Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie wtedy odniosłem, rozglądając się dokoła. U dołu jak okiem sięgnąć, widać było falującą, bezbrzeżną, zielonkawo-granatowej barwy przestrzeń, gdzieniegdzie tylko przetykaną strzępami chmur, od której wiało chłodem i grozą. Była to tajga. Matka i karmicielka myśliwego, oraz opiekunka i pocieszycielka zesłańca, który teraz właśnie, zrzuciwszy kajdany więzienne, przedzierał się ukradkiem przez jej ostępy ku swobodzie, ku wolnemu, innemu życiu...

U góry, na błękicie nieba, uśmiechało się radośnie słońce; wokół panował błogosławiony, niczym niezmącony spokój wieczności.

Począwszy stąd, łańcuchy górskie obniżają się już stopniowo; roślinność na pochyłościach słonecznych

pożółkła, nocami było znacznie cieplej. Opuszczaliśmy się ku południowi, przez całe łany dzikich porzeczek rosnących u brzegu wartkiego strumienia. Widać było podeptane krzaki i ścieżki, potworzone przez niedźwiedzi.

wa głuszca, tuż przy ścieżce w miejscu, obok którego za parę minut wypadało nam przejeżdżać. Głuszec siedział nieruchomo i przyglądał się nam ciekawie. Złożyłem się z siodła i głuszec spadł prawie pod nogi mego konia, który skoczył w bok, nie będąc z natury płochliwy. Był to okaz starego ptaka, który swoją ciekawość przypłacił życiem.



Borsuk przy norze *fot. A. Wiśniewski*

Uradziliśmy, że przyszedł czas, aby zapolować na nie. Rozbiliśmy w pobliżu namiot, konie spętaliśmy w żelaza, a sami pod wieczór zasiedliśmy niedaleko przy ścieżce, skąd, jak wskazywały ślady, przychodziła cała rodzinka niedźwiedzia. Niedługo czekaliśmy na miłych gości. Wkrótce usłyszałem wyraźny chrzęst łamanych suchych badyli, a po chwili na skraju halizny ukazał się niedźwiedź; przystanął i zaczął obwąchiwać powietrze, kierując łeb wyraźnie w naszą stronę. Struchlałem na myśl „aromatycznego" tytoniu Piotra i całej gamy zapachów jego odzieży, które, rzecz prosta, mogły zdradzić naszą obecność. Okazało się jednak, że on to wszystko przewidział i obrał należyte, co do kierunku wiatru, miejsce. Aż oto wyłoniły się z gąszczów jeszcze dwie sylwetki zwierzęce. Pierwszą była najwidoczniej niedźwiedzica, za nią przystanął niedźwiadek, a na końcu kręcił się niespokojnie piastun. Wyczekałem moment, gdy ten ostatni pokazał mi komorę, ulokowałem na niej muszkę i posłałem kulę z krótkiej kawaleryjskiej berdanki.

Zwierz zwinął się w kłębek i począł się tarzać po ziemi. Po chwili znieruchomiał, co dało nam możność wyjścia z ukrycia. Stwierdziliśmy, że był to ładny okaz młodego niedźwiedzia. Piotr zajął się przy świetle ogniska ściąganiem skóry, a ja, leżąc obok, przyglądałem się jego robocie, obiecując sobie w powrotnej drodze powtórzenie tej przyjemności, gdyż teraz skóry ciążyłyby nam bardzo w dalszym pochodzie.

W drodze widziałem, zwłaszcza pod wieczór, przelatujące nad naszymi głowami pojedyncze głuszce. Nie zwracało się na nie uwagi. Jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłem siedzącego na gałęzi drze-

Już łańcuchy górskie pozostały za nami; już puszcza świeciła coraz częściej haliznami, a miejscowość przybierała charakter z lekka tylko pagórkowaty i coraz częściej widniały młode gaiki brzozowe. W pewnym miejscu zauważyłem lasek, ogrodzony żerdziami, a w nim stadko centkowanych jeleni, spokojnie pasących się na murawie. Były to marały (Cervus maral), rodzaj jelenia, spotykanego na Ałtaju i w Sajanach. Hodowlę ich prowadzą tamtejsi mieszkańcy dla ich cennych rogów, zwanych „pantami". Nie było już wątpliwości, że niedaleko musiało być jakieś osiedle. Istotnie, za parę godzin wjechaliśmy w opłotki wioski, zamieszkałej przez sekciarzy rosyjskich, którzy przesiedlili się tutaj jeszcze za czasów któregoś z carów, uchodząc przed prześladowaniami religijnymi.

Rozłożyliśmy się na parudniowy wypoczynek. Od mieszkańców dowiedziałem się, że hodowla marałów jest tu szeroko rozwinięta, jako gałęź przemysłu dochodowego. Tubylcy odpiłowują w sposób barbarzyński co rok rogi zwierzęciu, suszą je i sprzedają Chińczykom, którzy mielą je na proszek i preparują lekarstwa, zalecane przez lekarzy chińskich czy znachorów, przeciw różnym chorobom.

Wypoczęci, wymyci i najedzeni, wyruszyliśmy w dalszą podróż. Mieszkańcy wioski serdecznie nas żegnali, udzielając życzliwie rad jak się należy zachować wśród stepów Sojotskich, aby uniknąć niebezpieczeństwa. Dziwili się niemało, że mamy nie lada odwagę, pragnąc we dwóch zapuszczać się w ten dziki kraj.

Z przewieszonymi przez ramię karabinami jechaliś-

my pełni dobrego humoru i radzi, że mamy przed sobą wolną przestrzeń, gdzie daleko można sięgnąć wzrokiem, że nie atakują nas przeklęte moskity i, że deszcze nie padają codzień jak w górach. Ale sielanka ta trwała niedługo. Na jednym z noclegów Piotr obudził mnie o północy, mówiąc, że w pobliżu zauważył jakieś cienie, skradające się ku nam. Przypomniałem sobie ostrzeżenie mieszkańców wioski, że wszyscy Sojoci są koniokradami i żebyśmy pilnowali koni po nocach. Z gotowymi do strzału karabinami zaczęliśmy podchodzić ostrożnie do podejrzanego miejsca. Noc była gwiaździsta, ale dość ciemna. Nagle usłyszeliśmy wyraźny tętent galopujących koni. Daliśmy ognia w tym kierunku, niewątpliwie za uciekającymi amatorami cudzych koni. Oczywiście, już nie mogliśmy usnąć do rana. W dzień znów dojrzeliśmy na horyzoncie jeźdźca, który truchcikiem podążał w przeciwną od nas stronę. Po jakimś czasie drugi konny jechał równolegle z nami, w odległości może kilometra, jakby towarzysząc nam.

— Już nam nie dadzą spokoju te przeklęte dzikusy — rzekł do mnie raz Piotr, bacznie lustrując horyzont.

— Czego oni właściwie chcą od nas? — zapytałem.

— Chcieliby zabrać nam broń i konie, a nas potopić tutaj — odrzekł posępnie Piotr, wskazując malowniczą toń wielkiego jeziora, obok którego przejeżdżaliśmy właśnie.

— Więc, jak sądzisz, co mamy robić? — spytałem.

— W dzień przespać się w wąwozie a jechać nocą.

— A jeśli nas zaatakują, co wtedy?

— Oni do walki odkrytej nie wystąpią, bo się boją naszych karabinów, które są lepsze od ich broni przedpotopowej.

Tak też uczyniliśmy. Nocą jechaliśmy, trzymając się kierunku według gwiazd, a w dzień wypoczywaliśmy na dnie wąwozu. Stwierdziłem, że mapa była bardzo nie ścisła, orientacja dlatego była znacznie utrudniona, a właściwie nie było żadnej. Zapasy prowiantu naszego kończyły się, a nie mogłem ustrzelić bodaj kilka dzikich gęsi, które przelatywały nad naszymi głowami, aby hałasem nie zdradzić naszej obecności. Nerwowo byliśmy już na wyczerpaniu. A tymczasem telegraf konny Sojotów działał coraz sprawniej.

Jeźdźcy ukazywali się na horyzoncie coraz częściej. Można było się spodziewać zasadzki ze strony „nieprzyjaciela".

Jak przypuszczaliśmy, tak też niebawem się stało.

— Musimy wracać — rzekł Piotr do mnie pewnego razu.

— Wracać nie możemy tą samą drogą, bo jest niebezpiecznie — odpowiedziałem, podenerwowany tym stanem rzeczy.

— Okólnej drogi trudno tutaj szukać — odrzekł flegmatycznie Piotr, drapiąc się w głowę, ale powracać musimy którędy indziej — zgodził się po namyśle ze mną.

Mapa, niestety, nic mi na to odpowiedzieć nie mogła.

Położenie nasze stawało się groźnym. Trzeba było decydować się niezwłocznie. Ani jednej faktorii, nawet za pomocą dobrej lornetki, dojrzeć nie mogłem, jakkolwiek, sądząc z udzielonych wskazówek przez sekciarzy, już nie jedną powinniśmy byli dotąd napotkać. Najwidoczniej było, że błądzimy. Piotr długo siedział na zboczu wąwozu i coś rozmyślał. Wreszcie podszedł do mnie i rzekł:

— Spróbuję poprowadzić inną drogą. Słyszałem od myśliwych, że taka droga znajduje się gdzieś, bardziej na zachód. Idą nią karawany, przewożące herbatę z Chin. Wyszlibyśmy wtedy bliżej Ałtaja, ale cało.

Nie było wyjścia innego, więc ruszyliśmy ku zachodowi. Zaczynaliśmy odczuwać głód. Trzeba było upolować kilka sztuk gęsi, względnie kaczek. U brzegu niewielkiego jeziora, wykopał Piotr saperską łopatką dół, u góry obłożył go suchą trawą, ja zaś z zachodem słońca, mając tylko kilka naboi — usiadłem na czatach.

Gęsi nadciągały sznurem, gęgając, a opisując wielki łuk, opadały na wodę jeziora. Odległość dla strzału była za daleka. Z rozkoszą obserwowałem życie ptactwa dzikiego w warunkach pierwotnej natury. Rzecz dziwna — kaczki, przeważnie krzyżówki, przelatywały nad wodą, lecz nie opadały, a ciągnęły gdzieśindziej, mając widocznie tam „swoje" wody. Już na jeziorze naliczyłem dobrą setkę gęsi, a inne wciąż nadciągały. Pływając majestatycznie w różnych kierunkach, zbliżyły się wreszcie do mojej kryjówki. Zmierzyłem, nie celując prawie i raz po raz oddałem dwa strzały.

Zakotłowało się na jeziorze, szum skrzydeł i trwożne wołania wzlatującej gromady ptaków napełniły powietrze. Na wodzie pozostało kilka sztuk, które Piotr, rozebrawszy się, wyniósł na brzeg. Gotowaliśmy je bardzo długo, mimo to mięso było twarde, lecz smakowało wygłodzonym.

Teraz nocami jechaliśmy bez przerwy w kierunku zachodu.

Po kilku dniach, dojrzeliśmy na horyzoncie kilku jeźdźców z karabinami do góry (krajowcy broń palną przytraczają do siodła, lufą na skos ku dołowi). Byli to sybiracy, wysłani przez pewnego przedsiębiorcę z Krasnojarska na poszukiwania złota. W gromadce czuliśmy się zupełnie bezpiecznie, mogliśmy nocami spać, wystawiając oczywiście warty, a co najważniejsze, nie odczuwaliśmy głodu.

Ciekawe nadzwyczaj były nasze noclegi. Opowiadaniom „z prawdziwych wydarzeń", snutym przy ognisku, nie było końca. Wsłuchiwałem się w nie, jak w cudowną bajkę. Wiele pożytecznych rzeczy dla myśliwego i podróżnika dowiedziałem się wtedy z tych opowiadań.

Tak zeszło nam w podróży powrotnej kilkanaście dni. Jechaliśmy przez rozległe stepy, wśród których tu i tam widzieliśmy większe i mniejsze stadka pasących się dropi, a na jeziorach — niezliczone ilości dzikich kaczek.

O tym co widziałem i słyszałem może kiedyś opowiem czytelnikom „Łowca Polskiego".

B. Zarzycki.

Kolegów - myśliwych,

posiadających roczniki pism łowieckich, proszę o ofiarowanie pojedyńczego zeszytu Nr. 10 „Łowca Polskiego" z 1935 roku.

Wł. Zabiełło.

EDWARD FRANKIEWICZ.

Najważniejsze zadania stowarzyszeń łowieckich

Zmiany ustrojowe, zaszłe w naszym Państwie po drugiej wojnie światowej, dotknęły bardzo poważnie również łowiectwo polskie. Ta niedoceniana w ostatnich wiekach gałąź gospodarstwa narodowego, której znaczenie i wartość dla ogólnej kultury i gospodarki narodowej rozumiały u nas dotychczas tylko jednostki, zajęła wreszcie należne jej miejsce. Szybko postępujący rozwój organizacyjny Polskiego Związku Łowieckiego, który znalazł się obecnie w szeregu najpoważniejszych instytucyj społecznych i ma decydujący wpływ na kształtowanie się gospodarki łowieckiej w kraju, świadczy najlepiej o tym, że Państwo należycie doceniło znaczenie łowiectwa, co daje rękojmię jego rozkwitu ku ogólnemu pożytkowi kulturalnemu i gospodarczemu naszej Ojczyzny.

PZŁ, jako organizacja ideowa, powołana do ogólnego kierownictwa zagadnieniami łowieckimi, ma na celu podniesienie zwierzostanów krajowych, łownych a również niełownych, na najwyższy, korzystny dla ogólnej kultury i gospodarki narodowej, poziom. Aby cel ten osiągnąć, Związek Łowiecki ma, między wielu innymi, zadanie podnieść kulturę łowiecką polskich myśliwych. Szczerze musimy się przyznać, że kultura łowiecka braci myśliwskiej pozostawia wiele do życzenia. Myśliwy wiejski, obojętne czy to chłop-gospodarz, czy fukcjonariusz administracji lasów państwowych, uważa łowiectwo, ściślej mówiąc myślistwo, przeważnie za sposób łatwego, dodatkowego zarobku osobistego.

Dlatego też, mając dotychczas możność czy to wydzierżawienia terenu łowieckiego za bardzo niski czynsz, czy to, przez stosunki z miejscowymi władzami samorządowymi, korzystania bezpłatnie z terenów „dzikich" lub jak funkcjonariusze administracji lasów państwowych i nieruchomości ziemskich, z terenów administracyjnych niewydzierżawionych, a nawet, niestety, z dzierżawionych przez innych myśliwych — ci myśliwi wiejscy wybijają resztki zwierzyny, uważając tę czynność za jedyne zadanie członka PZŁ.

Myśliwy miejski uważa, przynajmniej większość tak twierdzi, myślistwo tylko za rozrywkę, bardzo kosztowną i to podkreśla przy każdej sposobności. Myśliwy miejski, szczególnie „inteligent", nie poluje dla „mięsa", pragnie tylko wytchnienia na łonie przyrody; lecz zaproponujcie na polowaniu takiemu gronu miłośników przyrody równy podział ubitej zwierzyny, wtedy dopiero przekonacie się, jaka rozpęta się burza.

Niestety, nie każdy jeszcze członek PZŁ rozumie ideologię i zna statut swojej organizacji, rozumie i właściwie docenia znaczenie łowiectwa. Przekonany jestem, że w każdym wojewódzkim oddziale PZŁ z trudnością można znaleźć setkę myśliwych, posiadających prawdziwą kulturę łowiecką. Tak przedstawia się sprawa w województwach centralnych, wschodnich i na ziemiach odzyskanych.

W poznańskim, na Pomorzu i przedwojennych naszych ziemiach śląskich, kultura łowiecka szerokich mas myśliwskich — jak zresztą ogólny poziom kulturalny — jest bezprzecznie wyższa; jest tam zrozumienie gospodarczego znaczenia łowiectwa, a przeciętny myśliwy posiada większą wiedzę łowiecką. Jest tam



Na podsłuchach w okresie rykowiska w Poznańskim *fot. R. Serwiński*

natomiast inne zło: konserwatyzm. Myśliwi naszych ziem zachodnich kierują się często w gospodarce łowieckiej, podobnie jak do niedawna leśnicy w gospodarce leśnej, przestarzałymi niemieckimi zasadami i przesłankami. Konserwatyzm jest tak wielki, że najnowsze zdobycze wiedzy przyrodniczej nie tylko naszych polskich uczonych, lecz również niemieckich, które już przed ostatnią wojną w Niemczech zmieniły zasadniczo poglądy myśliwego i jego stosunek do przyrody i zmusiły go do zaniechania w poczynaniach gospodarczych teorii „poprawiania natury"— nie mogą jeszcze dotrzeć do świadomości wszystkich naszych kolegów.

Musimy się zgodzić, że podnosząc i upowszechniając kulturę łowiecką, która jest fragmentem ogólnej kultury, przyczynimy się do podniesienia poziomu tej ostatniej, spełniając tym doniosłą pracę społeczną. Myśliwy kulturalny stanie się uspołecznionym członkiem Narodu i będzie się czuł zobowiązany do podniesienia intelektualnego swego otoczenia.

Bez upowszechnienia kultury łowieckiej wśród myśliwych, bez upowszechnienia ogólnej kultury w Narodzie, łowiectwo nie będzie mogło spełnić swych zadań. Zadania te wypływają z przesłanek zarówno idealnych jak i materialnych: idealnych, to znaczy zachowanie dla potomności wszelkich rodzimych gatunków ssaków i ptaków, jako ozdoby ojczystego krajobrazu; materialnych: 1) zachowanie wymienionych zwierząt dla utrzymania równowagi biologicznej w przyrodzie, ułatwiającej i zapewniającej nam właściwe osiągnięcia w gospodarce nie tylko łowieckiej, lecz również rolnej, leśnej i rybnej, 2) dostarczenie dla gospodarstwa narodowego mięsa, skór, futer i innych surowców zwierzęcych.

Jak już powiedziałem, PZŁ, jako naczelna organizacja łowiecka, stawia przed sobą omawiane zadania, lecz w jaki sposób ma je wykonać? Rozważaniami nad sposobem ich wykonania, pragnę podzielić się z kolegami-myśliwymi.

W zupełności podzielam zdanie kol. Zbigniewa Kowalskiego, wyrażone w artykule „Organizowanie stowarzyszeń łowieckich", umieszczonym w Kalendarzu myśliwskim na rok 1948, że prawidłowe prowadzenie gospodarki łowieckiej na terenach dzierżawionych od Państwa lub gmin, mogą zapewnić nie indywidualni dzierżawcy, lecz stowarzyszenia łowieckie. Dodam do tego jeszcze, że szerzenie kultury łowieckiej mogą zapewnić również tylko te stowarzyszenia. PZŁ, zrzeszając kilkadziesiąt tysięcy członków, nie może mieć takiego bezpośredniego wpływu na poszczególnego myśliwego, jaki wywierać może i winna organizacja, składająca się z kilkunastu lub najwyżej kilkudziesięciu członków. PZŁ zobowiązuje stowarzyszenia, jako swoich członków, do wcielania w życie ideologii Związku, dając przepisy, regulaminy, literaturę, ba, nawet placówkę handlową „Jedność Łowiecka", natomiast pracę w terenie, nadzorowaną przez władze Związku, a mianowicie wojewódzkie i powiatowe rady, łowczych i podłowczych powiatowych, winny wykonywać stowarzyszenia łowieckie.

Organizując od marca 1945 r. oddział PZŁ w województwie kieleckim, musiałem włożyć dużo wysiłku, aby myśliwi zrozumieli, że koło łowieckie jest tylko członkiem PZŁ, nie zaś jedną z jego władz. Rozumiejąc i doceniając rolę i znaczenie miejscowych stowarzyszeń łowieckich zarówno dla rozwoju łowiectwa jak i dla celów ogólno-społecznych, prowadziłem prace organizacyjne tak, że wszyscy myśliwi w województwie musieli zorganizować się w kołach łowieckich, których mamy dziś w województwie 100, zrzeszających około 2.500 członków PZŁ.

Przejdźmy teraz do organizacji wewnętrznej stowarzyszenia łowieckiego i rozważmy te momenty, które są konieczne, aby organizacja nasza mogła spełnić swe zadania: 1) szerzyć i podnosić kulturę członków, 2) dostarczyć na rynek wenętrzny oraz na wywóz za granicę niezbędnej dla gospodarki krajowej ilości dziczyzny, skór i futer, zapewniając jednocześnie ciągłość gospodarki.

Dla wykonania pierwszego zadania, zarząd każdego koła łowieckiego winien urządzać przynajmniej w okresie „martwych sezonów", przewidziane w regulaminie wewnętrznym stowarzyszenia pogadanki i odczyty dyskusyjne, z obowiązującym udziałem wszystkich członków. Odczyty te będą jednak dopiero wówczas na należytym poziomie, gdy stowarzyszenie mieć będzie w swoim gronie kilku myśliwych o wysokiej kulturze łowieckiej. Dla ułatwienia oddziaływania jednostek kulturalniejszych na swoich kolegów, ilość członków stowarzyszenia nie powinna być zbyt liczna, maksimum 30 osób. W razie gdyby jakieś koło nie miało wśród swoich członków człowieka, któryby potrafił poprowadzić takie pogadanki, obowiązkiem łowczego powiatowego byłoby delegować prelegenta z innego stowarzyszenia. Indywidualne czytanie Łowca Polskiego lub innej lektury łowieckiej — nie zastąpi żywego słowa.

Chcąc wypełnić zadanie drugie, winno stowarzyszenie łowieckie uwzględnić w swej gospodarce warunki, dające rękojmię, jak najszybszego i najrozsądniejszego podniesienia i wykorzystania zwierzostanów. Warunkami tymi są: a) dostateczny pod względem powierzchni i struktury obszar terenów łowieckich, b) zdolny do wypełnienia ciążących na nim obowiązków skład zarządu stowarzyszenia, c) utrzymywanie wystarczającej ilości straży łowieckiej, wynagradzanej w taki sposób, aby strażnik był bezpośrednio zainteresowany w rozmnoży zwierzyny, d) taki sposób rozdziału ubitej zwierzyny pomiędzy członkami, aby stowarzyszenie po zaspokojeniu własnych potrzeb, mogło nadmiar ubitej zwierzyny rzucić na rynek wewnętrzny lub za granicę.

Dla zadośćuczynienia pierwszemu warunkowi winno koło posiadać co najmniej 12.000 ha, w dwóch, najwyżej trzech kompleksach. Jeżeli stowarzyszenie posiada teren leśny, konieczne jest wydzierżawienie sąsiednich pól. Na terenie o powierzchni około 4.000 ha, o kształcie zbliżonym do kwadratu, składającym się ponadto w części z lasu, w części z pól, łąk lub wód, można poprowadzić prawidłową gospodarkę łowiecką, niezależnie od złych czy dobrych sąsiadów.

W sprawie drugiego warunku muszę tylko podkreślić, że na stanowisko łowczego koła winien być wybrany kolega, nie tylko posiadający dużą wiedzę przyrodniczo-łowiecką i wysoką kulturę łowiecką, nie tylko poważany przez wszystkich członków koła, lecz również ruchliwy i cieszący się dobrym zdrowiem. Przymioty te ułatwią mu jak najczęstsze przebywanie w terenie, co jest niezbędnym warunkiem do osiągnięcia dobrych wyników gospodarczych. Tam, gdzie łowczy przyjeżdża na teren tylko na czas polowania, nie może być mowy o gospodarce łowieckiej.

Ilość i poziom moralny straży łowieckiej odgrywa również decydującą rolę na wyniki hodowlane. Moim zdaniem jeden strażnik winien przypadać na 1.500 do 2.000 ha. Ponieważ w obecnych warunkach rzadko które stowarzyszenie jest w stanie dać strażnikowi takie wynagrodzenie, aby mu wystarczyło na całkowite utrzymanie, należy wybierać ludzi, którzyby mogli przy sposobności spełniania swoich innych obowiązków, wykonywać również ochronę terenu łowieckiego; np. gajowych.

Wynagrodzenie strażnika winno być tak pomyślane, aby zainteresować go bezpośrednio w podniesieniu zwierzostanów. Prócz miesięcznego wynagrodzenia, strzałowego za ubite szkodniki i premii za złapanego albo ujawnionego wnykarza, sidlarza lub kłusownika, należy ustalić i wypłacać natychmiast po zakończeniu polowania dość wysoką premię od każdej sztuki zwierzyny ubitej na polowaniach przez myśliwych. Premia ta może wynosić np. 50% stawek, pobieranych za ubitą zwierzynę przez funkcjonariuszów administracji lasów państwowych, według cennika Ministerstwa Leśnictwa. Ponadto stowarzyszenie łowieckie winno wypłacać strażnikom jednorazowe nagrody za ogólne wyniki hodowlane, bądź to wszystkim, uzależniając wysokość nagród od rocznych wyników, z uwzględnieniem postępu w stosunku do roku ubiegłego, bądź wyznaczając kilka nagród za najlepsze osiągnięcia hodowlane. Nie radzę tylko wypłacać premii za zebrane wnyki i sidła, gdyż w razie jej stosowania ilość zebranych narzędzi zbrodni będzie przewyższać ilość faktycznie zastawionych.

W przypadku, gdy strażnik posiada prawdziwą „żyłkę myśliwską", należy bezwzględnie umożliwić mu legalne jej zaspokojenie przez pozwolenie ubicia dla siebie kilku sztuk zwierzyny w czasie urządzanego polowania. Niezapowiadane częste odwiedziny łowczego w łowisku, w różnych porach doby i roku, dadzą całkowitą rękojmię lojalności i sprężystości strażnika.

Wyjaśniam, że wszystkie rodzaje wynagrodzenia, prócz premii za ubitą zwierzynę, wypłaca koło łowieckie z przewidzianych na ten cel w budżecie rocznym funduszów, premię zaś za ubitą zwierzynę płaci ten, kto ją zabiera.

Przy rozwiązaniu ostatniego zagadnienia, dotyczącego podziału ubitej zwierzyny, proponuję wyjść z założenia, że podstawowa zwierzyna, jaką jest obecnie zając i kuropatwa, a w niektórych okolicach również bażant, jest własnością nie tego kto ją ubił, lecz stowarzyszenia. W miarę wzrastania naszych zwierzostanów, należało by zastosować tę zasadę również do innej, masowo pozyskiwanej zwierzyny, zarówno drobnej jak i grubej. Oczywiście trofea: wieńce, parostki, szable, skóry rzadszych drapieżników lub taka zwierzyna jak głuszec, cietrzew, słonka itp., pozostałyby własnością myśliwego, który je zdobył.

Po polowaniu część zwierzyny zostaje rozdana pomiędzy uczestników na ich własny użytek, np. po 1 lub 2 zające, pozostałą zaś ilość sprzedaje koło łowieckie spółdzielni „Jedność Łowiecka", względnie innej, upoważnionej do skupu dziczyzny placówce handlowej, pokrywając z pozyskanej kwoty wszystkie koszty polowania. W razie, gdyby ktoś z uczestników polowania potrzebował zwierzyny więcej niż regulamin przeznacza, lub gdyby nie biorący udziału w tym polowaniu członek koła chciał kupić dziczyznę na swój użytek, mogą ją otrzymać w drodze zapłaty.

Dla przykładu podam, że przy ilości 50 ubitych na jednodniowym polowaniu zajęcy w 15 strzelb, po rozdaniu pomiędzy myśliwych po 1 zającu, kwota uzyskana ze sprzedaży pozostałych 35 — wystarcza na pokrycie wszystkich kosztów polowania.

Taka organizacja pozwoli stowarzyszeniom łowieckim stać się jednostkami gospodarczymi, dostarczającymi dziczyzny zarówno na rynek wewnętrzny jak i zagraniczny, odgrywającymi poważną rolę w wyżywieniu ludności w kraju oraz zdobyciu dla Państwa tak bardzo potrzebnej waluty obcej. Poza tym dostarczanie na rynek dziczyzny czy skór przez organizacje myśliwskie przyczyni się w dużej mierze do zwalczenia handlu zwierzyną nielegalnego pochodzenia, a tym samym kłusownictwa, wnykarstwa i sidlarstwa.

Podane wyżej pierwsze trzy warunki nie są rozważaniami teoretycznymi, stosowałem je w praktyce z dobrym wynikiem, zarówno przed wojną jak i obecnie. Jeżeli zaś chodzi o zagadnienie własności ubitej zwierzyny, to proponowana przeze mnie zasada nie jest czymś nowym, gdyż była stosowana przed wojną w wielu majątkach prywatnych. Również w lasach państwowych, zarówno przed wojną jak i obecnie, ubita zwierzyna nie należy do myśliwego, który ją ubił, lecz do właściciela terenu — Państwa; dopiero po zapłaceniu za nią staje się własnością myśliwego. Na tej samej zasadzie stowarzyszenie łowieckie, jako dzierżawca terenu, jest właścicielem ubitej zwierzyny.

Wówczas więc, gdy stowarzyszenia łowieckie będą spełniały z jednej strony zadania organizacyj kulturalno-oświatowych i sportowych, z drugiej zaś strony zadania gospodarcze — ogół społeczeństwa zrozumiawszy znaczenie łowiectwa dla Kraju, patrzyć będzie nań innymi oczami, wówczas myślistwo przestanie być kosztowną zabawą zamożnych snobów, a stanie się poważnym czynnikiem, dostępnym dla szerokich warstw ludzi pracy.

E. Frankiewicz.

JERZY BŁESZYŃSKI.

27-my WRZEŚNIA

Minęło lat 10 od dnia, gdy w połowie września spotkałem u „George'a" Ottona Brueckmanna.

— Jedzie pan na rykowisko?

— Nie, odparłem, to dla mnie zbyt droga wyprawa.

— Jak pana znam, to wiem, że pan jednak pojedzie. Wardzała panu nie odmówi, raczej jeszcze ułatwi wyprawę.

Pożegnałem Ottona i wprost z kawiarni poszedłem do dyrekcji lasów państwowych. W godzinę później wychodziłem z prawem odstrzału byka w nadleśnictwie Jawornik. Odziedziczyłem spadek po jakimś Belgu, który przyjazd odwołał. Nie było to dziwne, gdyż potężne podmuchy zapowiadały szybko nadciągającą burzę dziejową.

W dwa dni później znalazłem się w Żabiem i nad szklanką piwa filozofowałem, jak dostać się do Jawornika, odległego jeszcze o sporą ilość kilometrów. Można było nająć taksówkę, ale przekraczało to moje zdolności finansowe. Wynalazłem wreszcie hucuła, który wracał w stronę Jawornika i za niewielką opłatą zgodził się zawieść do nadleśnictwa moją osobę, łącznie z dwoma plecakami, sztucerem i płaszczem lodenowym. Podróż po kamienistej drodze nie zaliczała się do najprzyjemniejszych. Znaczną część wolałem iść pieszo. Grunt, że jechały plecaki. Pod wieczór znalazłem się w nadleśnictwie. Przyjęto mnie bardzo serdecznie i gospodarz — nazwiska już nie pamiętam — energicznie zajął się organizacją wyprawy, której ostatecznym celem miał być masyw górski nad źródłami Czarnego Czeremoszu, nad Bałtagułem.

Drugiego dnia po przybyciu, wczesnym rankiem, wyprawa ruszyła. Składała się, nie licząc mojej osoby, z tropiciela-przewodnika, dwu huculskich koni-

pewne, czy Antoniek się zjawi. Poczciwy nadleśniczy troszczył się o mnie, karpackiego włóczęgę, jakbym był jakąś znakomitością.

Zmiana przewodnika odrazu nadała inny charakter wyprawie. Jeden podchód wieczorny wystarczył do osądzenia, że tylko jeden byk i to słaby jest w rewirze. Pokazał mi zresztą Antoniek owego jelenia na zrębie. Nie było czego szukać i powędrowaliśmy dalej. Gajowy wypożyczył swego konika pod plecaki, my zaś maszerowaliśmy piechotą, co mi o wiele więcej odpowiadało. Po drodze mijały nas stada owiec i bydła, wracającego z połonin na zimowiska do wsi.

Gdy nas minęła jedna czereda, Antoniek nagle chwycił mię za rękę: „Wilk!" W pierwszej chwili obaj sądziliśmy, że to zapóźniony owczarek dogania stado. Antoniek pierwszy spostrzegł omyłkę. Chwyciłem za sztucer, z którym nie rozstawałem się ani na chwilę. Oczywiście wilk nie zamierzał czekać na skutki nieprzewidzianego spotkania. Znikł jak duch.



Ładowanie zdobyczy na samochód

ków, dwu siodeł drewnianych i właściciela koni. Nie byłem i nie jestem amatorem konnej jazdy, którą znałem słabo w teorii, a jeszcze słabiej w praktyce, więc jazda na drewnianym siodle, archaicznej konstrukcji nie wywoływała dreszczów rozkoszy, przeciwnie, raczej uczucia powolnej przemiany na befsztyk tatarski. Jakoś jednak dobiłem do pierwszego miejsca łowów. Odprawiłem czemprędzej oba koniki wraz z drewnianymi siodłami łącznie z właścicielem i jeszcze tegoż wieczoru powędrowałem ku połoninom szukać przygód łowieckich.

Pogoda nie dopisywała: mżył deszczyk, lasy i zręby pod połoninami zaścielały mokre chmury, a co gorsza, jelenie czy raczej jeden byk ryczał za Czeremoszem w lasach Fundacji skarbkowskiej.

Na drugi dzień leśniczy przysłał mi innego przewodnika, Antońka z Zełenego, odwołując poprzednio przydzielonego. Telefonicznie wyjaśnił, że Antoniek jest znakomitym tropicielem i przewodnikiem, zaś odwołany tylko zastępczo pełnił swą rolę, gdyż nie było

Zatrzymaliśmy się nad sztucznym jeziorem przy zaporze, pospolicie w górach zwanej klauzulą. Wypogodziło się. Przez dwa dni wysłuchiwaliśmy nad wielkim zrębem, gdzie ponoć miał przebywać dobry byk. Niestety, żaden pomruk nie chciał przerwać wspaniałej ciszy. Tylko po drugiej stronie Czeremoszu, tuż nad naszą leśniczówką przy zaporze, porykiwał za dnia młody byczek. Zatem trzeba było iść dalej ku źródłom Czeremoszu, nad Bałtaguł.

Nie było to idealne miejsce na rykowisko. Budowano tam nową zaporę, pracowało przy tej robocie kilkudziesięciu ludzi, skały rozbijano dynamitem czy innym donaritem. Nocleg przytem zapowiadał się fatalnie, robactwa były niesamowite ilości. Wszystko to nie budziło zachwytu. Zostawiliśmy plecaki w domku administracyjnym i zaraz po obiedzie ruszyliśmy na zwiady.

Robotnicy pracujący przy budowie zapory opowiadali, że często słyszą ryczącego jelenia i to ponoć niedaleko budowy. Ano, zobaczymy. Po godzinnym

marszu znaleźliśmy się na wspaniałej poloninie, której kosa chyba jeszcze nigdy nie dotknęła. Godzina była wczesna. Przysiedliśmy na pochyłości. Niebo było bez chmurki, piękny ciemny błękit, połoniny rdzawe szczawiami, pod nami i naprzeciwko, po drugiej stronie zworu, głęboka zieleń praboru karpackiego. Cisza, aż w uszach dzwoni. Zatonąłem w trawach połoniny, w jej ciszy, zapomniałem o świecie, o ludziach i ich sprawach. Dobrze mi było.

„Pójdziemy w las" Antońka wyrwało mię z błogiej zadumy, z rozkosznej nirwany. Zsunęliśmy się do zworu, przeskoczyli potok, potem do góry po zboczu i zanurzyli w knieję. Cisza... taka, o jakiej śnić musiał wieszcz, pisząc strofy „ileż w takiej ciszy upolowałem dumań"... Posuwamy się jak duchy, coraz wolniej, coraz ostrożniej. Kilka razy potężny łopot wywołuje miły dreszczyk — to przerywamy przedwieczorną biesiadę pięknym głuszcom.

Idziemy już przeszło godzinę. Nie zamieniamy uwag nawet szeptem, gałązka nie trzaśnie pod naszymi stopami. Wreszcie Antoniek wskazuje na potężną kłodę. Siadamy pod nią. Cisza zupełna. Słyszę bicie serca, a szmer zegarka wydaje się zdrożnym. Siedzimy tak nieruchomo może pół godziny, może dłużej. Jakiś fluid drażni nerwy, potęguje podniecenie. Tu coś się musi dziać za tą zasłoną z zielonych gałęzi świerkowych, dotykających zbocza. Ta cisza jest zwodnicza. Nagle pod nami, wśród zieleni świerków, trzasła gałąź. Trzasła tylko raz jeden. I znów cisza, już teraz męcząca cisza. Wstrzymuję oddech, kątem oka badam Antońka. Nieruchomy jak posąg, zdaje się przenikać gęstwę pod nami. Wtem wzrok jego drgnął w prawo, biegnę za jego oczyma, jakieś cienie wysunęły się z gęstwiny i zatrzymały na rzadszym lesie 100 czy 150 kroków od nas.

Byk i dwie łanie. Znów poruszyły się, ale żaden szmer, żaden odgłos nie dotarł mych uszu. Przesuwają się jak zjawy. O! tera byk stuknął wieńcem o suchą gałązkę! Stanął na kulawy sztych. Badam przez lornetkę wieniec. Dziesiątak bez korony. Wieniec ciemny, ładnie rozłożony, nadoczne grube. Opuściłem szkła i spokojnie przyglądam się karpackiemu misterium. Antoniek zerka ku mnie pytająco. Uśmiecham się i przecząco kiwam głową. Jeszcze kilka minut trwa zjawisko. Jelenie szybkimi, ale krótkimi ruchami przesuwają się bez szelestu. Tylko byk raz czy dwa stuknął wieńcem o gałęzie. Już znikły.

Siedzimy chwilę i zabieramy się do powrotu. Antoniek pokazuje mi obok skopany mech. Tu jest rykowisko! Wiedział, gdzie mię zaprowadzić, gdzie się zatrzymać. On, dziecko karpackiej puszczy, wie wszystko. Wyszliśmy na zrąb. Gdzieś z dala doleciał nas basowy pomruk. Odezwał się starszy pan. Ale już późno, noc zapada, trzeba śpieszyć do schroniska. Jutro wyruszymy z plecakiem, z żywnością na dwa — trzy dni w góry. Zbyt męczące tracić codziennie po 4 godziny na dojście do łowiska. Nocleg, jak zapowiedziano, fatalny. Wyniosłem się na stryszek, skuliłem na garstce siana, owinąłem w płaszcz, osypałem flitem i usiłowałem spać. Ale nie było to łatwe zagadnienie, pomimo całodziennego marszu. Znużenie znużeniem a karakony i prusaki karakonami i prusakami. Wypasione na kukurydziance i huculskim sadle nie dają chwili spokoju. Łażą po mnie, skrobią, szeleszczą, flit niewiele pomaga. A noc przy tym chłodna.

Czy i jak drzemałem, tego już nie pamiętam, ale na pierwsze wezwanie Antońka, zsunąłem się z uczuciem ulgi ze stryszka. Przegryźliśmy po kawałku chleba i ruszyli w ciemną noc. Po godzinnym marszu skręciliśmy nad zrębem w lewo. Pod nami ryczy byk. Cóż, kiedy znów w lasach Fundacji. To już jakiś pech! Spotykamy ślady jeleni, stare, świeże i całkiem świerzutkie, jakby dopiero co przeszły przed nami, ale nic nie słyszymy, nic nie widzimy. Pogoda cudna, bezwietrzna, słońce grzeje rozkosznie. Tylko czasami lekki podmuch, to przesuwają się warstwy nagrzanego powietrza.

W środku wielkiego płatu lasu napotykamy na bagno. Z trudem przedostajemy się przez nie. Dalej napotykamy piękną polanę i tu postanawiamy odpocząć. Najpierw na spirytusowej maszynce gotujemy śniadanie, potem ja śpię około dwóch godzin. Teraz Antoniek kładzie się na zasłużony odpoczynek, a ja pełnię straż. Poszedłem na górny skraj polany, na przełęcz. Ha! toż tam w dole huczy Perkałab! źródła Białego Czeremoszu! Przecież tam dalej ku południu, pod wielkimi polami kosówki na Palenicy, po drugiej stronie grzbietu ubiłem ubiegłego roku byka. 27 września. Równo rok temu.

Zanurzyłem się we wspomnienia, w ten najcenniejszy skarb, którego nikt nie odbierze. Tak, rok temu, o zachodzie słońca, kiedy głębokie cienie już wybiegały z pól kosówki ku dolinie Perkałabu, strzeliłem pierwszy raz w życiu do jelenia. Mierzyłem starannie, a było metrów ponad sto, bez lunety, bez oparcia. Stałem po wydobyciu się z głębokiego potoku na zupełnie otwartym polu, a on jeszcze krok, jeszcze dwa i byłby znikł w ciemniach kosówki, tak, jak znikły już towarzyszące mu łanie. Położył wieniec na grzbiecie i ryczał. Wkręciłem raz i drugi kolbę w rowek strzelecki, jak mię w wojsku uczono i umieściłem muszkę wysoko na łopatce.

Rzuciło bykiem po strzale, a ja rzuciłem się na miejsce strzału. Jakiś tupot, jakiś trzask łamanych gałęzi i nade mną w kosówce i pode mną w wysokim lesie. Ale to tylko mgnienie oka. Zaraz zaległa cisza. Zmrok pogłębiał się z każdą chwilą. Trzeba było wracać. Byka znalazłem nazajutrz w przepaści o 200 metrów od miejsca strzału.

Wszystko to przesunęło mi się przed oczyma. Jeszcze powróciłem do żmudnych zeszłorocznych podchodów, spinania się po straszliwie stromych zboczach, wysłuchiwania koncertów nocnych. Ten byk w kosówce dał znać tylko raz o sobie, ale co to był za bas!

Ocknąłem się z zadumy, wróciłem do obozowiska i obudziłem Antońka. Powędrowaliśmy wzdłuż połoniny Palenicy, poniżej kosówki, ale ponad lasami powoli, przystając, nasłuchując. Aż doszedł do nas z głębi lasu, wprost spod nas, basowy pomruk. Skamienieliśmy. Znów i znów byk zaryczał. Teraz Antoniek objął władzę dyktatorską. Najpierw zsunęliśmy się szybko ze zbocza w las, pilnie bacząc na bojowe wezwanie jelenia. Po jakichś 300 metrach Antoniek zostawił pod kłodą plecak, płaszcz, swój kożuch i wszelkie zbędne rzeczy. Zabrał mi lornetkę i kazał posuwać się za sobą na czworakach. Mam ściśle stosować się do jego poleceń, nie wolno mi głowy podnieść, nie wolno mi... no, wogóle nic mi nie wolno, tylko bez szmeru posuwać się za nim. Ano, posuwam się, ściskając mocno sztucer. Tymczasem byk zamilkł,

ani pary z pyska nie puszcza, milczy jak zaklęty. Antoniek nie przejmuje się tym zbytnio. Suniemy w dół i wnet zaczynamy się czołgać. Pełzniemy, jak węże wśród mchów, pomijamy wiatrołomy, tylko cicho,



Zdobyty wieniec

tylko bez szmeru, bo usłyszy, tylko nisko przy ziemi, bo zobaczy. Tylko on, Antoniek, wychyla co chwila głowę i zaraz daje nurka. Znów pełzniemy, ciągle w dół.

Nagle zatrzymaliśmy się. Zdawało mi się, że gdzieś leciutko trzasła gałązka, ale z której strony — tego ze schyloną do ziemi głową, z przyśpieszonym tętnem, wyrozumieć nie mogę. Ale Antoniek wie, on wszystko wie, on, dziecko puszczy. Skręcamy w prawo, pełzniemy powolutku, coraz wolniej. Antoniek zatrzymuje się pod grupą świerków nad lekkim wklęśnięciem i podając mi lornetkę pokazuje kierunek. O kilkadziesiąt kroków stoi byk wśród świerkowych podrostów. Widzę grzbiet i nad nim koronę, ładne białe końce. Podnoszę sztucer, naciągam przyśpiesznik i mierzę w środek grzbietu: trzask! przyśpiesznik zeskoczył, ale przekręcony w prawo bezpiecznik Mannlichera nie puścił — gorąco uderza mi do głowy — powoli opuszczam sztucer, odbezpieczam, naciągam przyśpiesznik.

Byk, jakby skamieniał. Antoniek zdradza niepokój — byk słyszał szczęknięcia. Ale muszka już siedzi na grzbiecie byka, trochę bliżej karku. Echo poniosło grzmot strzału między lasy i góry. Byk zwalił się w świerkowe podrosty. Równo w rok po pierwszym, 27 września, tyle tylko, że o godzinie 15 minut 45, a nie po zachodzie słońca.

Św. Hubert był łaskaw dla mnie.

Jerzy Błeszyński.

TADEUSZ ŚLIWIŃSKI.

TROPY JELENI

Tropienie płowego zwierza, zwłaszcza na czarnej stopie, jak również podchodzenie go — jest swego rodzaju sztuką i wymaga dokładnego zwracania uwagi nie tylko na wielkość i rozstęp odcisków racic, lecz również w gąszczach na wycieranie futra, dalej na sposób obgryzania krzewów, na ocieranie wieńca, oraz na rodzaj i wysokość wycieranych wieńcami drzew, na bobki, sierść i w ogóle na wszelkie ślady zwierzyny. Tropienie jest poza tym pewnego rodzaju badaniem, pogłębiającym wiadomości o zwierzu i zmusza ono myśliwego do głębszego zainteresowania się jeleniem pod względem jego siły, wieku, płci itd. Specjalny urok ma tropienie, które zapoznaje z życiem knieci, według tropów, a długie i nużące podchody czy czaty — odsłaniają tajemnice boru.

Nigdy nie zapomnę momentu, gdy w gęstych mgłach poranku podchodziłem silnego, jak mi się zdawało, a ciągle ryczącego jelenia. Posuwając się za bykiem przeważnie piaszczystą ścieżyną mogłem kilka razy przyjrzeć się jego tropom. Jeleń ciągnął ku północy, rycząc bez ustanku; równolegle z nim posuwał się z lewej strony inny, słabszy rogal, którego tropy udało mi się także sprawdzić. Towarzyszył mi leśniczy P.

Byk, którego podchodziłem, ryczał często i silnie, wabiąc łanie, to znów gniewał się i groził, chwilami też mamrotał jak gdyby był w towarzystwie łań. Wnosząc z tonacji, powinien być sam, bez chmary; ale co znaczy mamrotanie? Że grozi, to nic dziwnego, bo obok idzie jeleń słabszy; a i ja, naśladując głos byka, dałem znać o sobie. Dziwny to jakiś byk, i odmienne ma zwyczaje, to ryczy, jako samotnik, to znów jakby był w towarzystwie łań. Ryczałem też i ja, udając samotnika i posuwałem się za rogalem, starając się przebić oczami gęstwinę przyziemnych, mlecznych mgieł. Raz przesunął się jak cień we mgle, a wieniec jego, w stosunku do całej postaci, wydawał się jakby mały i słaby.

Posuwając się z godzinę za tym bykiem, natrafiłem na świeże, odmienne tropy kilku jeleni, wśród których można było rozpoznać trop innego, silnego byka w towarzystwie łań. Skonstatowałem zatem, że mam przed sobą nie jednego, lecz dwa grube byki, z których jeden prowadzi chmarę, a drugi wraz z towarzyszem, trzymającym się z boku, idzie tropem jelenia, prowadzącego łanie. Te zbyt częste gniewy i wyzwania pochodziły od obu rogali, co ja, idąc za nimi obydwoma we mgle, a mając z boku jeszcze jednego — nie mogłem z początku rozeznać. Dopiero świeży trop byka z łaniami, odmienny od tropu samotnika, wyjaśnił mi zagadkę. Trop tego byka z łaniami — wydał mi się podobny do tropu mocnego czternastaka, którego poprzedniego dnia widziałem na otwartym wzgórzu wysokości około 300 metrów, i którego tropy obejrzałem dokładnie.

W miejscu, gdzie tropy obu byków krzyżowały się i domniemany czternastak skręcił w prawo, ja również udałem się w tym kierunku, porzucając dotychczas tropionego i polecając obserwację tegoż leśniczemu P. Lecz jeleń ten skręcił również za czterna-

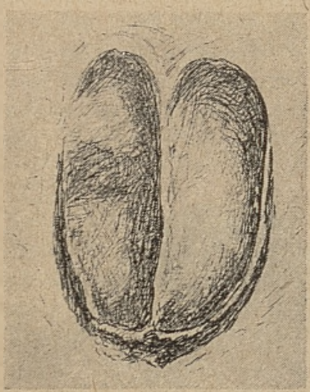
stakiem. Cóż więc było robić, aby pozbyć się natręta, który mógł mi popsuć sprawę, tym bardziej, że miejscowość była na ogół odkryta i dość rzadki zagajnik. zaledwie metrowej wysokości, pokrywał teren działania, a poranna mgła lada chwila mogła się rozwiać?

Po dziesięciominutowej przerwie, gdy pierwszy z rogali, sądząc z głosu, znów zbliżył się do mnie, zacząłem ryczeć na niego niższymi tonami, grożąc i strasząc; udawałem bardzo starego byka, który zamierza atakować. Dzięki temu byk odsunął się znacznie, tak, że mogłem iść dosyć szybko za tym drugim, przypuszczalnym czternastakiem. Idąc tropem byka i chmary, zbliżyłem się na kilkaset kroków i zacząłem wabić łanie, udając starego rogala. Czternastak odpowiedział wyzwaniem pełnym wściekłości, ale mgła była jeszcze tak gęsta, że jeleni nie mogłem rozróżnić.

W kilka godzin później, posuwając się ciągle za tropami i pod wiatr za bykiem i jego łaniami, a ukrywając się pomiędzy krzakami, udało mi się dostać tego byka na muszkę i położyć go na miejscu. Byk ten zyskał na wystawie w Poznaniu w 1930 r. pierwsze miejsce i srebrny medal za wieniec.

Różnice pomiędzy tropami obu byków były bardzo nieznaczne; czternastak miał trop węższy lecz dłuższy, a odcisk obrzeża bardziej równy; ten pierwszy natomiast byk, okazał się średnim dziesiątakiem, miał odcisk bardziej okrągły a brzeg mniej równy, ale dzięki temu, że poprzedniego dnia, po zobaczeniu czternastaka, poszedłem na jego trop i dokładnie przyjrzałem się odciskom, mogłem, nie różniczkując głosów z powodu „obory" jaką trzy byki robiły, pójść w gęstej mgle za właściwym tropem i zdobyć najmocniejszego z całej trójki.

Tropy i ślady. Odczytywanie tropów nie jest rzeczą łatwą i, aby pod tym względem dojść do pewnej biegłości, należy poznać łowisko, w którym mamy polować na jelenie oraz dobrze przestudiować tropy widzianej zwierzyny. Ostoję jeleni należy odwiedzać i obserwować wcześniej, przed rozpoczęciem polowania, aby zapoznać się ze zwierzyną na podstawie tropów i rozeznać gdzie zwierz ma wagę. Inaczej też patrzeć będziemy na trop, jeśli chodzi o zapoznanie się z ogólnym zwierzostanem łowiska, a inaczej dla nauczenia się samej sztuki tropienia, a znów inaczej podczas polowania, gdy trzymany sztucer w garści i jesteśmy przejęci możliwością spotkania. Wystudiować zwierzynę lub nauczyć się tropić — można tylko na zimno, gdy nie pcha nas ciągle żądza zoczenia zwierza, gdy wzrok zamiast skupić się na najbliższych przedmiotach i terenie, który mamy pod nogami, przeszywa dalsze gęstwiny i końcowe punkty pola widzenia.

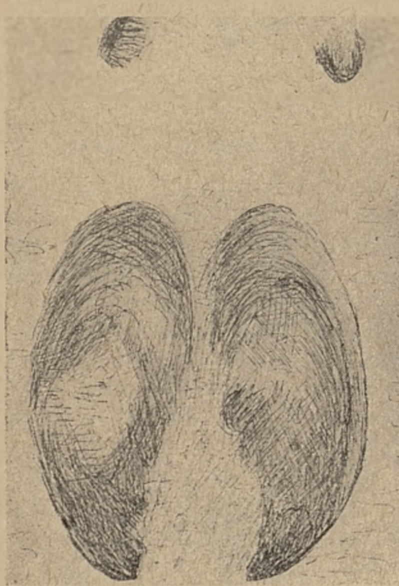


Rys. 1. Trop młodego byka



Rys. 2. Trop łani

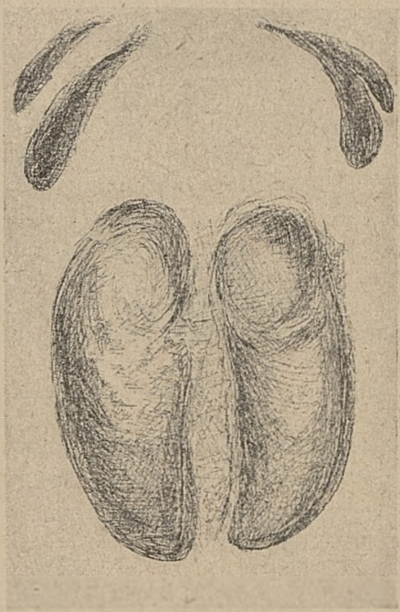
Znajomość tropów i śladów jest specjalną umiejętnością myśliwską, i tylko dłuższe i skrupulatne obserwacje przed i w czasie rykowiska umożliwiają mu grutowne posiadanie tej sztuki. Spotykając w łowisku trop jelenia na piasku czy wilgotnej ziemi, musimy zdać sobie sprawę najpierw: 1) czy jest to trop rzeczywiście jelenia, czy też innej zwierzyny racicowej; 2) czy mamy do czynienia z pojedyńczą sztuką, czy też z większą ilością jeleni; 3) czy tropy wskazują ruch stępa, kłusa, czy też cwałem; 4) czy wśród kilku sztuk jest byk o wiekszych wymiarach tropów; 5) musimy zwrócić uwagę na świeżość tropu; 6) zauważywszy trop samotnego mocnego byka czy też byka przy chmarze, winniśmy dobrze zapamiętać wszelkie szczegóły odcisku jego racic, aby, zoczywszy go w następstwie, poznać jego trop, ewentualnie sprawdzić przez podchodzenie w jaki sposób byk ten ryczy.



Rys. Trop grubego byka w cwale

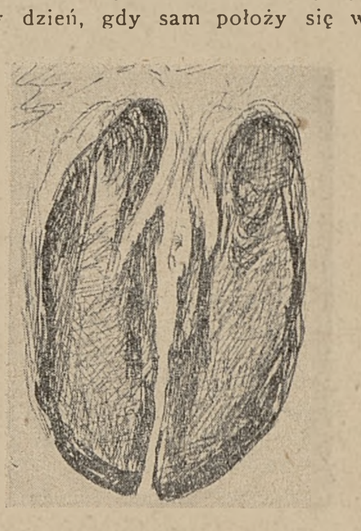
Nie należy również poprzestać na obserwowaniu pojedyńczego odcisku tropu jelenia, lecz trzeba przejść za tropem kilkaset kroków, aby dokładnie zapamiętać indywidualne jego cechy, a jeśli jest to trop zupełnie świeży a wiatr pomyślny — to podchodzić byka. Najbardziej typowe tropy jeleni podane są w załączonych rysunkach, a poza tem dla odróżnienia podaję trop dzika.

Jeśli zauważyliśmy trop grubego byka, to wypada przejść ścieżką prostopadle do kierunku jego tropu kilkaset kroków, aby przekonać się czy byk szedł sam, czy może miał towarzyszki, które o kilkadziesiąt kroków dalej mogły przeciąć ścieżkę z innym, prawdopodobnie mocniejszym rogalem. Ilość łań, towarzyszących bykowi, jest rzeczą charakterystyczną. Zbyt wielka ich ilość wskazuje często na młodego lub średniego byka; starsze rogale kontentują się mniejszą ilością łań.



Rys. 4. Trop dzika odyńca

Często starszy byk, nie mający łań przed rykowiskiem, ma za towarzysza młodego, dwu- lub czteroletniego jelenia, będącego jakby w terminie u starego i uczącego się u niego wszelkich jelenich kunsztów, dając natomiast w zamian swe doskonalsze zmysły, jako gwarancję bezpieczeństwa. Zażyłość ta trwa dalej, gdy byk stanie na czele chmary; pozwala on wtedy swemu asystentowi towarzyszyć łaniom, zwłaszcza w dzień, gdy sam położy się w gąszczu,



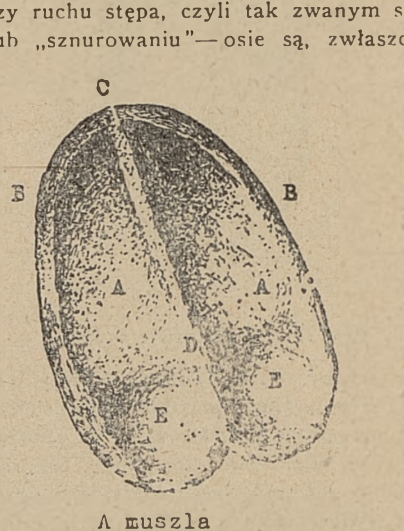
Rys. 5. Trop byka stojącego

aby odpocząć po trudach nocy i licznych przygodach miłosnych. W nocy ten młody (jak to go rozmaicie nazywają: towarzysz lub asystent, chłyst lub podciołek, a po niemiecku „Beihirsch") musi trzymać się z daleka, bo... niechby się tylko nawinął, gdy stary sprawia gody weselne! W dzień młodszy może towarzyszyć chmarze, lecz udział jego musi ograniczyć się do platonicznej miłości, bo gdy stary wieczorem wraca, obwąchuje przede wszystkim swój harem czy nie zaszło coś zdrożnego w czasie jego nieobecności. Młody nie może więc śpiewać swoim wybrankom podczas nieobecności starego — „Pan pułkownik śpi".



Rys. 6. Trop byka w biegu

Jeleń kroczy podobnie jak koń; ma on zasadniczo trzy szybkości ruchu: stęp, kłus i cwał, co wyobraża rysunek 8. Widzimy tam znaczne różnice w rozstawieniu racic. Im szybszy jest ruch, tym dalej i szerzej racice są rozstawione, czyli, że osie każdej racicy odchylają się od ogólnej osi ruchu pod większym kątem. Przy ruchu stępa, czyli tak zwanym sznurowym ruchu lub „sznurowaniu"— osie są, zwłaszcza u łań,



A muszla
B obrzeże tropu
C nosek lub szpic
D linia grzbietowa
E jabłko lub poduszka

Rys. 7. Nazwy części tropu

prawie równoległe do kierunku ruchu; przy kłusie — kąt tych osi do linii ruchu jest zupełnie widoczny

a jeszcze bardziej zaznaczony, gdy byk sadzi cwałem, wtedy odciski racic zbliżone są do siebie.

W tropie jeleni (rysunek 1 — 7) rozróżniamy: AA miskę, która tworzy główne wgłębienie tropu, nosek czyli przód tropu C, brzeg lub obrzeże tropu B, jabłka lub poduszki, czyli tylną wypukłą część tropu EE, linię grzbietową, rozdzielającą racicę zwaną też nitką D i wreszcie odbicie górnych kopytek, czyli szpil (rysunek 7). W zależności od wagi zwierza, jego płci i szybkości ruchu będziemy mieli różnorodne odbicia tropów. Większą szerokość odcisków racic u byków należy tłumaczyć tym, że byk w porównaniu z łanią ma przód silniejszy, stąd dla utrzymania równowagi musi mieć szersze oparcie; trop przednich racic jest przeto nieco większy i głębiej odciśnięty niż tylnych.

Sznurowaniem nazywamy ruch stępa, jeśli ślady tropów tworzą proste linie. Podczas biegu kłusem tropy poszczególne są bardziej od siebie odległe oraz na ogół wydatniej odciśnięte w ziemi, prócz tego jeleń wyrzuca noskiem racicy kupki ziemi. Podczas ruchu kłusa ostrogi, zwane dreptakami, czyli górne kopytka, są często widoczne na wilgotnej ziemi lub piaszczystym gruncie. W cwale tropy układają się grupami według skoków, jakie wykonuje jeleń; w tym rodzaju biegu jeleń unosi się jakby nieco w powietrze i pada na cztery nogi, odbija się i znów robi skok w górę i naprzód. Racice przy biegu cwałem zarywają się głęboko w miękką ziemię i przy odbijaniu się wyrywają większe pecyny ziemi. Dreptaki w cwale zawsze się odbijają.

W dolnej Austrii, w nadleśnictwie Matzen, otrzy-otrzymano następujące wymiary tropów byków:

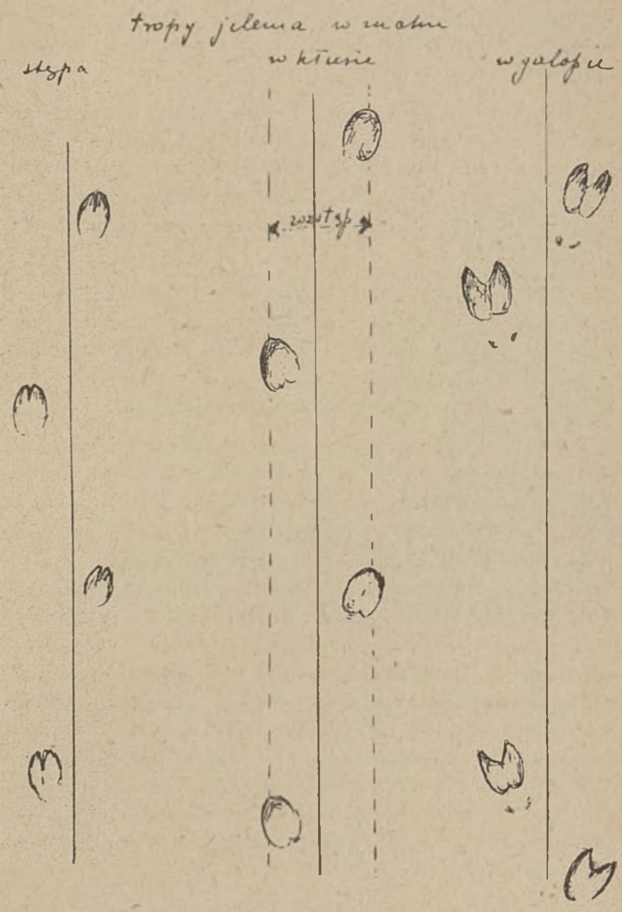
	długość tropu	szerokość tropu
szpiczak	70 mm	60 mm
szóstak	82 mm	67 mm
ósmak	90 mm	75 mm
dziesiątak	97—100 mm	82—86 mm
dwunastak	100—104 mm	80—90 mm
czternastak	100 mm	85 mm.

W Białowieży widziałem tropy długości 105 mm, szerokości 90 mm.*)

Wzrost byków w stosunku do łań w tym samym wieku jest znacznie szybszy. Byk waży już w wieku średnim dwa razy więcej niż łania, a w wieku późniejszym może nawet przekroczyć ten stosunek. Długość tułowia jest u byków również większa aniżeli u łań, co też ma swój wpływ na rozległość tropów jeleni, zależnie od płci. Byk będzie więc miał na ogół dłuższy krok niż łania, a odcisk miski i obrzeża znacznie głębszy i wyraźniejszy; uwydatnia się to szczególnie na miękkim gruncie. Na trawie byk obrzeżem swej racicy zawyczaj przecina trawę, podczas gdy lżej stąpająca łania tylko przygniata ją.

Zewnętrzny łuk obrzeża tropu młodego byka jest więcej okrągły aniżeli tej samej wielkości trop łani, który ku noskowi przedstawia łuk bardziej ostry. Byk ma także większy rozstęp pomiędzy liniami, łączącymi noski prawych i lewych, tak tylnych jak przednich tropów; nawet u cieląt można zauważyć tę różnicę. Odcisk tylnej części tropu jest u rogala silniej zaznaczony niż u łani i stanowi bardziej zamknięty obwód; dlatego też trop byka jest nie tylko z przodu, lecz i z tyłu bardziej zaokrąglony.

Jelenie wykazują w różnych okolicach pewne, nieraz dosyć poważne różnice tropów. Według Brandta —najsilniejszy byk czternastak posiadał trop długości 105 mm a 95 mm szerokości; lecz znany jest znów dwunastak, który miał trop nie większy nad 80 mm długości i 65 mm szerokości. Grubego byka możemy poznać na podstawie długości kroku, tj. odległości od szpica do szpica racic. Jeleń górski wykazuje większą długość kroku niż jeleń nizinny, a równocześnie większe stępienie obrzeża, czyli racicę bardziej od dołu płaską.



Rys. 8. Tropy jelenia w ruchu

Trop starego łojnego byka cechuje oprócz drapetek zwanych także szpilami, także bardziej tępy grzbiet, rozdzielający kopyto racic; oprócz tego daje się zauważyć, że tropy tylnej racicy, nieco mniejszej w wymiarach, nakrywają częściowo tropy przedniej lub nie dochodzą do odcisku przedniej, tworząc tzw. niedostęp, gdy u jeleni słabych i średnich zazwyczaj trop racicy tylnego biegu, wyprzedza trop racicy przedniego badyla. Również silniejsze odchylenie osi racic od osi wyobrażającej kierunek ruchu, wskazuje na mocnego byka. Jeleń łowny, na ogół biorąc, nie może tak blisko zestawiać tropów jak to czyni łania, musi on też szerzej rozstawiać badyle, a przez to rozstęp jest u niego większy i to tym większy im grubszy byk i im bardziej łojny. c. d. n.

---

*) Janusz Domaniewski podaje nieco mniejsze wymiary tropów. Cielę latem ma mieć odcisk długości 3,9 cm, szerokości 3 cm; szpiczak 5 cm—4,2 cm; stara łania 6,5 cm—4,6 cm; szóstak 7,2 cm—5,2 cm; łowny stary byk 8,5 cm do 9,1 cm długości i 5,9 cm do 6,5 cm szerokości.

Dr. W. DMOWSKI.

ŚWIĘTY JELEŃ

U podnóża pasma Gór Świętokrzyskich, przy drodze prowadzącej z Iwanisk do Nowej Słupi, stała niegdyś karczma. Stara, rozwalająca się rudera. Ciemne wnętrze; brudny szynkwas zastawiony flaszkami wódki; okna nigdy nieotwierane, upstrzone przez całe pokolenia much; kwaśny zapach piwa, spirytusu, śledzi, machorki i chłopskich kożuchów. Za ladą dwóch Żydów obsługujących gości. Kilka obdrapanych i lepiących się stolików. Na podłodze pełno niedopałków, skórek od ogórków, skorupek jaj i wszelkiego śmiecia.

W tej karczmie znaleźliśmy się w końcu września 189... r. Polowałem na kury w majątku ojca kolegi na polach u podnóża gór. Byliśmy we trzech, wszyscy chłopcy dziewiętnastoletni, młodzi studenci uniwersytetu.

Zmęczeni po ukończeniu łowów, zatrzymaliśmy się tutaj, by coś zjeść i wypić, bo do domu było dość daleko, a głód już dokuczał. Z nami były dwa wyżły, które też zmęczone całodziennym okładaniem pól położyły się koło stołu i wywiesiwszy czerwone ozory, ciężko dyszały.

— Wódka, kiełbasa i bułki! — dał rozkaz kolega.

Po chwili wszystko się znalazło, bo Żyd-karczmarz nie był zbyt przesądny i handlował wieprzowiną, aż miło. Wprawdzie bułki były dość czerstwe, ale głód i młode zęby wyrównywały wszystkie braki.

Właśnie, gdyśmy przegryzając, roztrząsali wypadki dnia, posłyszeliśmy w sieni rozmowę. Karczmarz mówił: „a pamiętajcie, Tomaszu, że na jutro, pojutrze musi być na pewno. Kupiec czeka!" Drugi głos burknął: „Hmm! to będzie" i do izby wszedł nowy gość.

Chłop w wieku lat czterdziestu kilku, średniego wzrostu, krępy, w krótkiej szarej kurtce wyszmelcowanej i w wyrudziałeł barankowej czapce. Wąsy czarne, obwisłe, podbródek dawno niegolony, obrośnięty szczecinowatym zarostem, nos u podstawy mocno wciśnięty, ponure spojrzenie — wszystko to tworzyło sylwetkę o powierzchowności raczej odpychającej. Wszedł, siadł przy drugim stoliku i zażądał wódki, chleba i sera. Z butelki nalał pełną szklankę i ni marszcząc się, wypił. Zagryzł chlebem i zaczął skręcać papierosa.

— Masz coś zapalić? — spytałem się kolegi — już wszystkie papierosy mi wyszły. Okazało się, żeśmy już wypalili cały zapas, zabrany z domu. Sytuacja okazała się o tyle gorszą, że i Żyd, zainterpelowany w tej sprawie, odparł flegmatycznie: „papierosy? — wyszli; jutro poślę do Słupi". Wróciliśmy do stolika, humor nieco się popsuł; zapanowało krótkie milczenie.

Nagle rozległ się zachrypnięty głos: „chłopaki, skręćcie sobie!" — to nasz sąsiad tak nas zapraszał, podsuwając pudełko z machorką i bibułki.

Machorka była mocna, wilgotna, aż się w głowie mogło od niej zakręcić, sąsiad jednak skręcił sobie znów grubego papierosa i ćmił w milczeniu, patrząc na nas spode łba.

— A coście upolowali? — spytał wreszcie, uważnie przyglądając się strzelbom.

— Mamy koło trzydziestu kur — odpowiedział kolega.

— Phi! kury! — pogardliwie machnął ręką chłop — Tu są lepsze „kawałki" w lesie — dziki, „jelenie".

— Tak, ale to już las rządowy.

— Phi! — znów wzruszenie ramion — ino ziemia należy do rządu, ale już drzewo to jest tego, co potrzebuje, a zwierzyna — tego, kto ją dostanie.

Postawiłem świeżą butelkę wódki na stół — rewanż za tytoń.

Chłop nalał sobie szklankę i znów wypił duszkiem.

— Jestem Tomasz Kurek — burknął, jakby sobie przypomniał, że warto się przedstawić.

Przedstawiliśmy się nawzajem i podali ręce.

Kurek — znaliśmy dobrze to nazwisko. Zawodowy a nieuchwytny kłusownik z sąsiedniej wioski, kat na zwierzynę i zmora rządowych lasów. Taka była o nim powszechna opinia; czy słuszna? niewiadomo. Gdy w nocy śród boru rozległ się jak grzmot strzał z jakiejś starej broni, mówiono, że to na pewno Kurek strzela. Zasadzali się na niego gajowi, rewirowy przeprowadzał rewizję w jego mieszkaniu — na próżno. Dowieść mu nigdy niczego nie można było.

Przypomniały nam się słowa, posłyszane z sieni i prawdopodobne ich znaczenie.

— Gadajcie sobie dalej — zwrócił się Kurek do nas. Sam gryzł czerstwy chleb ze serem i pogrążył się w milczeniu.

Rozmowa, przerwana na chwilę, ożywiła się znowu. Zaczęliśmy mówić o jeleniach, które w tym czasie odprawiały rykowiska. Właśnie z daleka odzywał się jeden byk. Kolega wspomniał przy tym o legendzie, jakoby w tych stronach miał się czasem ukazywać święty biały jeleń z promienistym krzyżem w wieńcu potężnych rogów.

— Gadać, gadają, a nie wiedzą sami, co mają pod nosem — rozległ się nagle burkliwy głos naszego sąsiada.

— A pan wie? — zapytałem żywo.

— Pewnie — burknął znów chłop.

— Niech więc pan nam opowie, co w tym jest prawdy? — prosiliśmy razem.

Chłop obrzucił nas znów wzrokiem spode łba. — „Eh! — machnął ręką — widocznie zrobiliśmy na nim dobre wrażenie — powiem wam, ale... gardło mi wyschło.

Aluzja była wyraźna i na skinienie szynkarz przyniósł nową butelkę wódki.

— To tak — zaczął chłop opowiadanie, popijając przy tym ze szklanki wódkę — gadki, to tu takie są. Ludzie gadają, insi powtarzają i dodają, a prawda jest, że taki „jeleń" żyje i nawet bliziucheńko.

— Tak? — zdziwiliśmy się.

— Może ze dwie wiorsty stąd. Wiadomo, tam w górach — pokazał za siebie ręką — tam on wychodzi na łączki. Sztuka wielka.

— Biały? — spytałem.

— Taki jasny jakiś — o, nie taki, jak insze! A jak spojrzy na ciebie, to tak, jakby człowiek patrzał.

— To już pan się z nim bliżej spotykał? — spytał jeden z kolegów.

— Ano, niby! — popatrzył znów na nas i jakoś dziwnie się skrzywił, co u niego miało zapewne oznaczać uśmiech. — Potraficie, chłopaki, mieć gęby na kłódkę? — spytał nagle krótko.

— Potrafimy! — zaśmieliśmy się chórem.

— Dobrze, ja to widzę po was, żeście morowce. — Ta uwaga pochlebiła mocno nam młodym szczeniakom. — Wiem, że pary z gęby nie puścicie i do „ziandarów" nie pójdziecie „sypać".

— No, chyba! Na swego? Skądże? — odpowiedzieliśmy razem.

— Jużem raz do niego nawet celował — nie tak dawno—ale, psiakreść, kapiszon był widać zły, stary... raz, drugi spuściłem kurek — nie wypaliło. Czegoś takiego, tom już dawno nie miał. A on cały czas stał spokojnie i tylko patrzał na mnie. Ja się i samego diabła nie zlęknę — a wtedy ciarki mię przeszły. Sięgam ręką do kieszeni, gdzie miałem insze ładunki a „leleń" rogi zniżył, jakby chciał się rzucić. Wyjąłem więc rękę i stoję nieruchomo. Co będzie, to będzie. On znów łeb podniósł i patrzy się. On wie wszystko. Niechnobym spróbował zakładać świeży nabój — to już po mnie! Stoję więc przed nim blisko, ze strzelbą, co tyle warta, co kij! Taka pojedynka — rozumiecie? Mógł mię wtedy wykończyć na amen. A on patrzał jeszcze długą chwilę — a ślepia to mu się świeciły jak węgle; potem się odwrócił i powoli poszedł w las.

— Zaczarowany? — rzucił któryś uwagę.

— Może? E, chyba nie! Tak się jakoś złożyło — burknął niechętnie kłusownik.

Z głębi lasów znów się rozległ ryk jelenia. Na dworze już się zaczynało ściemniać. Kurek nałożył czapkę i jął nadsłuchiwać.

— No, a co? Może chcecie go zobaczyć? — spytał znów krótko.

Zerwaliśmy się z miejsc; pokusa była zbyt wielka.

— To on tak ryczy? — spytał jeden z kolegów.

— Nie! to inszy — jeszcze młody — tamten to ma głos jak grzmot. On się też wnetki odezwie... Jak go dziś nie zobaczycie, to już chyba i nigdy. No, to zostawcie tutaj psy i strzelby, u Jośka są „przezpieczne", a ja was podprowadzę. Zawdy lepiej, jakby was kto ze mną spotkał, gdy będziecie bez strzelb.

Przystaliśmy na to — i słusznie. W nocy, w rządowym lesie, w towarzystwie kłusownika, a niewykluczone, że mógł nas gajowy spotkać.

— Jędrasika dziś niema (było to nazwisko gajowego) — jakby odgadł Kurek naszą myśl. — Poszedł, wiem, na chrzciny i nie wróci prędko. Dziś przezpiecznie. Możemy iść. Pełnia i księżyc zaraz wzejdzie, będzie widniej, lepiej dla tych, co niezwyczajni.

Wychylił resztę wódki, zagryzł chlebem i wyszliśmy na dwór.

Powietrze było nieco mgliste, wilgotne, bo od strony łąki wstawały opary. Z lasu szła mocna woń zbutwiałych liści. Mrok osnuł cały las, ale już w dali nieśmiało przez gęstwinę drzew przebłyskiwało mdłe światełko. To wschodził księżyc. Ruszyliśmy raźno — chłop na przedzie.

Wieczór był ciepły. Cichy wietrzyk szumiał wśród liści. Nad głowami bezszelestnie przemykały się nietoperze. W starych sosnach, stojących blisko karczmy, odezwały się puszczyki: jeden, drugi, trzeci, czwarty...; daleko rozbrzmiewał ich niesamowity chichot.

Kurek stanął, popatrzył na sosny, posłuchał chwilę. „Psiakrwie, żeby was..." zmełł w ustach jakieś przekleństwo, machnął pogardliwie ręką i znów szedł dalej. Droga była wyjeżdżona, ale nierówna i zasłana kamieniami, księżyc stał jeszcze nisko, wysokie sosny kładły na drogę swe cienie, gdzieniegdzie też sterczały po bokach drogi wysokie głazy, koło których było zupełnie ciemno. Coraz to któryś z nas się potknął. Teraz zobaczyliśmy, co Kurek może naprawdę. Po kilku szklankach wódki szedł równym, pewnym krokiem jak po najlepszej szosie. Jego rysi wzrok dostrzegał każdy najdrobniejszy kamyk pod stopami.

Posuwaliśmy się szybko w górę. Po upływie wiorsty skręciliśmy z gościńca w prawo na wązką leśną dróżkę. Zbocza gór były porośnięte lasem mięszanym, przeważnie jednak sosną i świerkiem. Drzewa rzucały wciąż cienie na drogę usłaną głazami, których tu było znacznie więcej, i gdzieniegdzie przerywaną rowkami, wymytymi przez spływającą wodę ze śniegów i deszczów. Szczęściem księżyc świecił coraz jaśniej.



Piękne trofeum tatusia

Ryki jeleni słychać teraz było wyraźnie. Odzywały się trzy byki.

— To jeszcze nie on — rzekł Kurek chrypliwym, przyciszonym głosem. — To młodziki, choć też już tęgie byki. Ale ja „jego" muszę dziś dostać! — warknął nagle.

— Jego? Świętego jelenia? — mróz jakiś przeszedł mi po plecach.

— A tak. Kapcy, psiekrwie, duszą człeka, żeby „lelenia" dostać i dobrego, bo mają gościa... — a blisko to on będzie najlepszy. Poczekajcie no!

Stanął. Zatrzymaliśmy się.

Nagle z głębi boru zagrzmiał ryk starego byka. Głos grubszy niż poprzednio słyszane; wychodząc z potężnych płuc huczał jak organ i rozlewał się po całym lesie.

Obejrzeliśmy się, Kurka nie było. Przeszło parę minut. Potentat puszczy czekał spokojnie na odzew rywali, ale te widocznie nie ufając w swoje siły, odeszły dalej, bo głosy ich dobiegały teraz więcej stłumione. Wielki byk znów powtórzył wyzwanie.

Nie usłyszeliśmy kroków w lesie, nie trzasnęła gałązka, nie dojrzeliśmy niczego w coraz jaśniejszej poświacie księżyca — i Kurek znów stanął przy nas. Ten człowiek przemykał się cicho po lesie jak kot. W ręku trzymał teraz jednorurkę, której lufę okrywał przed blaskami miesiąca.

— To już gołoborze — rzekł półgłosem. — On tu będzie stać jakiś czas. To dziwny jakiś „jeleń" — dodał po chwili. — Chodzi zawdy sam, a mógłby dużo łań pociągnąć za sobą. Silny byk! A on nie! Straszy insze byki, a z żadną nie chce chodzić!

Znów rozległ się grzmiący ryk, tym razem dłuższy i jakiś ponury. Kłusownik wsłuchiwał się uważnie.

— To nie ich on wyzywał — rzekł półgłosem.

— A kogo? — spytałem cicho.

— Mnie! — burknął Kurek. — On wie, że idę na niego i dlatego ryczy, że stoi i czeka. On wie, że ja mu nie daruję życia, choć wtedy mi przepuścił. Mogę iść śmiało do niego i trzaskać gałęziami. Inszy byk dawno by uciekł, ale ten nie ucieknie Aż szkoda jego. Takiego „jelenia" w naszych lasach nie było nigdy i po nim już nigdy nie będzie.

— A może pan innego podejdzie? — prosiłem.

— Nie! — rzekł twardo kłusownik. — On czeka na mnie. Wie napewno, że przyjdę, ale to już teraz nasze ostatnie spotkanie. Albo on mój, albo ja jego. Chodźmy!

— Dobrze dziś pan nabił strzelbę? — spytałem.

— Oho! — brzmiała odpowiedź nieco chełpliwa. — Broń stara, ale co plunę z niej — to trup! Dostałem wczoraj od jednego żelaznych kulek, prochu nasułem też dość. Zobaczycie, że po strzale ani jednego kroku z miejsca nie ruszy — tak dostanie.

Ruszyliśmy dalej w milczeniu, ciągle idąc w górę tą samą dróżką leśną. Teraz las zaczął się przerzedzać i przez stare pnie sosnowe przeświecała jakaś jasność. Kurek zatrzymał nas.

— Poczekajcie tu na mnie! — szepnął — a po strzale przyjdziecie. Tu za lasem jest goły pagórek. Tam on stoi i ryczy.

I w tej samej chwili znów się rozległ grzmiący zew jelenia.

Kurek znikł za drzewami. Staliśmy nieruchomo, zasłuchani w głos władcy puszczy, który przewalał się setnym echem i wypełniał cały bór; czekaliśmy na strzał. Dwóch wielkich rywali miało się spotkać: stary byk, groźny siłą a czujny — i myśliwy najlepszy, jaki był w tych stronach, a chytry jak sam zwierz.

Powiał wiatr ze szczytu, od strony skąd stał jeleń. Kłusownik posuwał się pod wiatr. Nic nie zamącało ciszy, nie trzasnęła gałązka pod stopą. Potentat leśny stał odsłonięty na szczycie wzgórza i wyzywał do honorowej walki — człowiek skradał się jak zbójca, kryjąc się w cieniu drzew. Niesmak budziła ta myśl. To nie było godne człowieka. Przeszła minuta, zatrzymaliśmy dech w piersiach — już za chwilę coś będzie.

Wśród drzew błysnął ogień i zgasł nagle. Huk strzału rozległ się jak grom, ale dlaczego ten huk był jakiś inny, niż zwykle? Może tylko tak się wydaje w górach. Nie zastanawialiśmy się nad tym i skoczyliśmy naprzód. Za chwilę minęliśmy las o rzadkim podszyciu, mieliśmy teraz przed sobą rozległy, niezarosły pagórek, jasno oświetlony promieniami księżyca, którego pełnia stała już wysoko na niebie.

I wtedy ujrzeliśmy „jego".

Stał nieruchomo na samym szczycie wzgórza zwrócony wprost ku nam, z dumnie wzniesioną głową. Zupełnie jasny, może nie biały, ale jakoś widmowo jasny w seledynowych blaskach miesiąca. Widać było wyraźnie cały wieniec wysoki i rozłożysty, widać było gęstą grzywę na karku potężnego zwierza.. Księżyc zlewał na niego całe potoki światła, a on w tych blaskach stał jak posąg wykuty. A przecież przed chwilą strzelono do niego? Co się stało? Zatrzymaliśmy się jak wryci, nie mogąc słowa przemówić. Dreszcz przenikał nas wskroś.

I nagle gdzieś blisko jęk i głuchy charkot. Jeleń wzniósł jeszcze wyżej głowę, patrząc na nas, po czym wyciągnął szyję i ryk potężny znów rozdarł powietrze. Ale teraz w głosie tym brzmiało co innego — i my to odczuliśmy w tej chwili. To była straszna, zwycięska fanfara. Jakby setki trąb i bębnów rozległo się: jemu, władcy puszcz na chwałę, a wrogowi — na śmierć.

Jeszcze chwilę zwierz postał nieruchomo na wzgórzu, po czym zwolna odwrócił się i spokojnym krokiem zstępował do boru. Kształty jego w poświacie księżyca stały się jeszcze więcej widmowe, rozpływały się stopniowo... Jeleń zniknął — jak duch.

Czuliśmy, że tu przed chwilą stało się coś przerażającego i zaczęliśmy się bacznie rozglądać dokoła.

Za wielkim głazem, jak łachman zmięty, leżał człowiek — martwy. Czoło i włosy zalane krwią, dokoła wielka, ciemna kałuża krwi. A w tej masce twarzy, wykrzywionej w jakimś okropnym skurczu, w blasku księżyca, świeciły oczy, zastygłe w niezwykłym przerażeniu. Ostatni przebłysk świadomości utrwalił to uczucie.

Obok trupa leżała rozstrzaskana strzelba.

Zrozumieliśmy: zbyt mocny ładunek rozerwał starą broń. Odłam uderzył strzelca w czaszkę i zmiażdżył ją...

I zrozumieliśmy jeszcze więcej. Kurek, który się chełpił, że się i diabła nie lęka, który zabił w swym życiu dziesiątki jeleni — tego przeciwnika bał się. Pił wódkę szklankę za szklanką, by zagłuszyć tym lęk i nie mógł go zagłuszyć. Głosy puszczyków zwiastowały mu zgubę i on to przeczuł. Ambicja nie pozwoliła mu się cofnąć, ale nie miał już odwagi stanąć na wprost swego wroga. Czając się, podkradł się blisko i dał zdradziecki strzał. Nastąpił wybuch, stąd niezwykły odgłos strzału. Jakby piorun uderzył w czaszkę, ale jeszcze krótka chwila świadomości... i strach.

A jeleń nietknięty patrzał na to ze swego wzgórza. I stał po tym, czekając, żebyśmy go widzieli i usłyszeli zew jego zwycięstwa.

W uszach dzwoniły mi ciągle słowa Kurka: „Po strzale nie pójdzie już ani kroku, tak dostanie!" I po strzale nie zrobił już ani kroku — człowiek.

Spojrzałem na kolegów — drżeli też jak w febrze: uciekać! jak najdalej od tego miejsca.

Kiedyśmy przyszli znów do karczmy — nie pamiętam. Na starych sosnach powitały nas puszczyki swym szatańskim chichotem. Krew w nas zastygła.

Przed karczmą stał zaprzężony wóz i kręciło się paru Żydów. Stali w pogotowiu, widocznie słyszeli strzał. Karczmarz popatrzył chwilę na nas, nic nie spytał, ale zrozumiał. Nasze twarze musiały wszystko wydać. Wzięliśmy, milcząc, strzelby i siatki ze zdo-

byczą, wypuścili psy i wyszli. Zauważyłem, że jeden z Żydów wprowadzał właśnie wyprzężonego konia do stajni.

Szliśmy dłuższy czas, nie mogąc słowa przemówić.

— Straszne! — wyrzuciłem wreszcie ze siebie.

— Czy widzieliście krzyż nad jeleniem- — spytał jeden z kolegów.

— A ty?

— Ja widziałem. Wyraźnie. Jakby z promieni utkany.

Jednak my dwaj nie zauważyliśmy tego i myślę, że to nadmierne przeczulenie wywołało u chłopca tę halucynację.

Wróciliśmy do domu niezauważeni. Było już późno i domownicy spali. Z nas żaden tej nocy oka nie zmrużył. Nad ranem uspokoiły się nieco nerwy

Postanowiliśmy nikomu ani słowa nie wspomnieć o naszej bytności w lesie. Co do karczmarza, to byliśmy pewni, że będzie milczał.

Jedynie tylko myśl, że tam w głębi lasu leżą zwłoki ludzkie, które może teraz ogryzają lisy i psy bezdomne, nie dawała nam spokoju.

Gajowy Jędrasik nazajutrz z rana znalazł trupa kłusownika i złożył doniesienie do władz. Widocznie powiedziano mu w gajówce, że w nocy był strzał w lesie i wskazano kierunek. Śledztwo wykazało, zgodnie z naszym przypuszczeniem, że przy strzale wyrwana część zamka ugodziła Kurka w głowę, kładąc go na miejscu. Nadleśnictwo odetchnęło swobodniej w trosce o swoją zwierzynę i sprawa — ucichła.

* * *

Po trzech latach spotkałem się z leśniczym tego obwodu. Po kolacji zebrało się kilku panów i gawędziliśmy. Leśniczy opowiadał o ulepszeniach, jakie poczynił w hodowli jeleni i jak przy tym wzrosła waga zwierza i wielkość wieńców.

— Jaka jest barwa sierści pańskich jeleni? — spytałem.

— Nie mamy jednolitej rasy — odparł leśniczy — mamy zarówno okazy zbliżone do rasy górskiej jak i do nizinnej, przeważnie są brązowe, niektóre są ciemniejsze, czerniawe — a mieliśmy parę lat temu jeden wyjątkowy okaz — zupełnie jasny.

— Biały? — rzuciłem pytanie i dreszcz mię nagle przejął przy wspomnieniu, że kiedyś przed laty zadałem to samo pytanie komu innemu.

— Nie! Nie biały — ale bardzo jasny... takiego koloru jasno-kawowego. Objaw oczywiście albinizmu. Widziałem go kilkakrotnie, lecz zawsze w porze ochronnej. Silny szesnastak.

— Dziwny jeleń — mówił dalej, powtarzając zupełnie słowa kłusownika — chodził zawsze sam, chociaż wyróżniał się na rykowisku. Był przeznaczony trzy lata temu na odstrzał dla generała z Kielc w czasie rykowiska, o ile by go potrafił upolować — dodał z dziwnymu śmiechem — ale byk nagle znikł w tym czasie i więcej go nie widziano. Dowiadywałem się w sąsiednich łowiskach — nikt nic o nim nie wiedział.

— Czy w tym czasie... gdy to stał się ten wypadek... z kłusownikiem? — spytałem ostrożnie.

— Więc słyszał pan o tym zdarzeniu? Właśnie wtedy. Tego samego wieczoru słyszał go w górach jeden z moich ludzi, jak ryczał, ale już nazajutrz byk przepadł. Nie zdaje mi się coś, że był on wtedy ranny, ani, że w ogóle mógł go kto upolować. Może poszedł w jakie dalekie strony — nie wiem.

— Ludzie mówią po wsiach, że ten kłusownik spotkał się w lesie ze świętym jeleniem i dlatego zginął — rzekłem.

— Dookoła takiego wypadku zaraz urośnie legenda, zwłaszcza, że już taka była poprzednio o istnieniu w tych stronach świętego jelenia — odparł spokojnie leśniczy — zniknięcie jelenia po tym zajściu też jest zagadkowe; ja tylko twierdzę, że był to jakiś dziwny zwierz, inny zupełnie niż wszystkie.

— Czy jest tam jeszcze karczma przy drodze? — zagadnąłem.

— Nie! ta karczma była stale przytułkiem i punktem zbornym złodziei i kłusowników. Mieliśmy ją od dłuższego czasu na oku. Potem stwierdziliśmy, że Josiek zajmował się paserstwem kradzionych przedmiotów i dostarczał amunicji kłusownikom. Powędrował on za kratki na czas dłuższy, budynek stary, prawie walący się, przeznaczono na rozbiórkę.

— A dlaczego pan przypuszcza, że ten jeleń żyje jeszcze? — zapytałem.

— Proszę pana — odparł leśniczy zwolna i jakby z wahaniem, nie jestem przesądny i nie chcę wierzyć w legendy... ale coś było w tym zwierzu takiego ludzkiego. Na Białej Rusi mówią, że dusza strzelca po śmierci może wejść w grającego głuszca. Gdyby tego jelenia pan kiedy zobaczył, mógłby pan śmiało to samo o nim pomyśleć. Dlatego też nie zdaje mi się, aby go kto mógł zabić. Teraz zresztą przepadł i prawdopodobnie nikt go więcej nie ujrzy. No, moi panowie! — przerwał tę rozmowę — stoliki do kart czekają. Jak wysoko gramy dzisiaj?

* * *

Byłem w tych stronach po latach czterdziestu. Skronie przyprószył mi szron. Po starej karczmie nie zostało śladu. Las na górach został w wielu miejscach mocno przetrzebiony i miejsce jego zajęły zieleniejące się młodniaki.

W okolicy jednak po tylu latach żyje jeszcze legenda o świętym jeleniu. Ludzie też pamiętają kłusownika Kurka i twierdzą z całą pewnością — jakże intuicyjnie — że ten musiał spotkać się ze świętym zwierzem i, że za bluźnierczy uczynek podniesienia nań ręki, spotkała go kara niebios i zasłużona śmierć nagła.

Ta legenda przekazywana jest z ojca na syna i zapewne jeszcze całe dziesiątki lat żyć będzie wśród okolicznego ludu.

Dr W. Dmowski.

Dr JERZY BŁESZYŃSKI.

LEGALNE KŁUSOWNICTWO

Mianem kłusownika oznaczamy zwykle jednostkę, która poluje w cudzym łowisku, czyli — innymi słowy — kradnie, względnie usiłuje kraść cudzą zwierzynę, sięga zatem po nie swoje dobro. Ale czasami miano kłusownika doczepiamy do myśliwego, wyposażonego we wszelkie uprawnienia łowieckie, w pozwolenie na broń, kartę łowiecką, dzierżawiącego osobiście łowisko, względnie należącego do jednego lub więcej towarzystw łowieckich. Cóż powoduje tę przykrą doczepkę? Ano, widocznie ów myśliwy, polując, musiał zawadzić swoimi czynami o treść pojęcia kłusownika: polując sięgnął po nieswoje dobro, sięgnął po zwierzynę, na którą nie wolno mu było polować, względnie nie powinien był polować.

Otóż wpojenie zasady na co i kiedy można i wolno polować, bez zawadzania o treść pojęcia kłusownictwa stanowi jedno z podstawowych zagadnień etyki łowieckiej, jest wielkiem zadaniem wychowawczym Polskiego Związku Łowieckiego.



Łoś *rys. S. Rozwadowski*

A teraz trochę historii.

Okres, kiedy Państwo było uważane za prywatną własność panującego, pozostawił fatalny nawyk pewnej części myśliwych, iż zwierzyna jest ich niczym nieograniczoną własnością. Nawyk ten przejęli w procesie, kiedy ziemia przechodziła spod wyłącznej władzy książęcej na coraz szersze rzesze obywatelskie. Na przeciwległym końcu szeregu tej rzeszy był chłop, w którym tkwiło i tkwi jeszcze dawniejsze, atawistyczne przekonanie, że zwierzyna jest niczyja, że można ją łowić bez żadnych ograniczeń wszelkimi możliwymi sposobami, że złowiona zwierzyna staje się bezsporną własnością łowcy.

Między te dwa ujęcia wykonywania łowiectwa wkroczyło nowoczesne Państwo, narzucając coraz bardziej określone normy wykonywania łowiectwa, obowiązujące **wszystkich**. Wprowadzono czasy ochronne, rozszerzając stopniowo pojęcie ochrony na coraz to liczniejsze rodzaje zwierzyny, dochodząc wreszcie do zezwalania polowania tylko na określone rodzaje zwierzyny w ściśle oznaczonych okresach.

Zwierzyna z niczyjej stała się wreszcie tym, czym być powinna: dobrem narodowym, częścią bogactwa narodowego. Ta przemiana odmieniła też całkowicie rolę myśliwego; a z niczym nieograniczonego łowcy stał się myśliwy gospodarzem łowiska, z którego winien planowo dostarczyć Państwu jak najwięcej wartości rzeczowych w postaci mięsa i skór dzikiego zwierza. Przygotowanie rzeszy polskich myśliwych do tego zadania jest wielkim celem, do którego urzeczywistnienia zmierza Polski Związek Łowiecki. Z takiego ujęcia łowiectwa wynika nieuchronnie wniosek: kto nadmiernie wybija zwierzynę w łowisku, chociażby miał prawo posiadania broni myśliwskiej, kartę łowiecką i był z tego czy innego powodu użytkowcą łowiska, ten narusza całość dobra narodowego, przekracza posiadane uprawnienia, sięga po nie swoje, czyli **legalnie kłusuje**.

Walka z legalnym kłusownictwem jest jednym z naczelnych zadań Polskiego Związku Łowieckiego, jest jego „bitwą o zwierzostany", jest bitwą, którą PZŁ musi wygrać i wygra ją na pewno. Sposoby, jakie nieraz będą musiały być stosowane, wydadzą się nieraz rewolucyjne i dla dawniejszych przyzwyczajeń niewygodne. Ale wierzyć trzeba, że jeżeli nie już, to wnet olbrzymia większość członków PZŁ przyjmie wytyczne Polskiego Związku Łowieckiego za jedyny sposób gospodarzenia w naszych łowiskach.

Niestety, wciąż jeszcze napotyka się na „myśliwych", członków PZŁ, uważających, że wolno im wybijać wszelką zwierzynę w użytkowanych łowiskach. Przy przetargach podbijają niesamowicie ceny dzierżawne łowisk, bo „to się opłaci", gdyż nie tylko w danym łowisku, ale i w sąsiednich jest dużo zwierzyny, która nie uznaje granic i będzie ją można wystrzelać na wydzierżawionym terenie. Komentarze zbyteczne. Dla takich „myśliwych" nie może być miejsca w PZŁ, z wszelkimi wynikającymi z tego skutkami.

Prawidłowi myśliwi, zorganizowani w PZŁ, domagają się od społeczeństwa uznawania swych praw i zwyczajów, szukają opieki państwowej poprzez prawo łowieckie, domagają się karania niemyśliwych, naruszających prawa i zwyczaje łowieckie. Jeżeli jednak ci prawidłowi myśliwi będą dozwalać niektórym nieetycznym członkom PZŁ na samowolne niszczenie zwierzostanów, a tym samym popierać „legalne kłusownictwo" — wówczas stają się z tego tytułu — współwinowajcami.

Jerzy Błeszyński.

IGNACY ŻAGIELL.

NA ŁOSIOWYM SZLAKU

Na dalekim Polesiu, w bezkreśnych ostępach i dzikich kniejach, otoczone wkoło lasami, rozlewało swoje wody jezioro Tuchowskie, które na północy zatracało charakter jeziora i przechodziło stopniowo w bagienne rozlewisko. Z tego to jeziora wypływała poleska rzeka Lwa, która płynęła leniwie, tocząc swoje wody poprzez dzikie puszcze. Trudno jest opisać całą egzotykę i urok dorzecza rzeki Lwy. Upodobała ona sobie poleskie knieje, pełne niewypowiedzianych uroków i nieopisanego czaru, puszcze jedyne chyba w całej Europie, których lasy i nieprzeniknione głębie można by chyba przyrównać do lasów dziewiczych, nietkniętych jeszcze stopą ludzką.

W takiej oto puszczy spędziłem kilka niezapomnianych lat, które zaliczam do najszczęśliwszych okresów życia mego. Samotny nie byłem, gdyż miałem licznych i różnorodnych sąsiadów leśnych, jak: łosie, dziki, rysie, wilki, lisy, sarny i inne mniejsze stworzenia leśne oraz nieprzeliczone ilości różnorodnego ptactwa z głuszcem, królem skrzydlatej rzeszy, na czele. Okolice jeziora Tuchowskiego i rzeki Lwy obrały sobie za ostoję duże ilości łosi, których stan w owym czasie określałem na około 200 sztuk.

W 1938 roku, w pierwszych dniach września rozpoczął się okres popędu płciowego u łosi, tzw. bukowanie. Dookoła Tuchowskiego jeziora niosło echo poprzez puszczę ryki i postękiwania rogali, które nawet z dalszych okolic przywędrowały, szukając sobie towarzyszki i wabiąc niewidzialnego rywala. Miałem na Czarcim Błocie starego potężnego rogala, którego nieraz udało mi się widzieć jak poprzez splątane ściany łozy i mateczników sunęła olbrzymia sylwetka tego odwiecznego króla puszcz poleskich z rozdętymi chrapami, biorącego wiatr i szybko znikającego w dzikich gąszczach, gdy zwęszył niewidzialnego wroga. Łosia tego, ze względu na jego wiek, postanowiłem odstrzelić. Obserwacja wykazała, że już trzecią noc z rzędu wabi i buszuje w tym samym miejscu, trzymając innych rogali w przyzwoitej odległości.

Dnia 7 września zabrałem do pomocy starego tropiciela i wabiarza, towarzysza moich łowów, Jakima, i krótko po zachodzie słońca byliśmy już na punkcie wyczekiwania. Usiedliśmy na spróchniałym wykrocie, przed nami rozciągała się mała, kilkunastuarowa halizna, dookoła las mieszany, a dalej dzikie haszcze, porośnięte łozą, gdzie zamiast linii oddziałowych były tylko ścieżki, wydeptane przez dziki. Był cichy i pogodny wieczór, wiatr, który w ciągu dnia zawodził po knici, ucichł zupełnie i cisza, święta cisza poleskiej puszczy, zapanowała wokół. Raptem gdzieś z daleka odezwał się donośny wab łosia, odpowiedział mu dwukrotnym parsknięciem inny łoś i znowu cisza.

Wabiło jeszcze kilka łosi, lecz żaden z nich nie był owym olbrzymim rogalem, na którego ryk oczekiwaliśmy z utęsknieniem. Już chcieliśmy zmienić stanowisko, gdy nagle z odległości 200 metrów doszło nas głośne parsknięcie, za chwilę łoś znowu parsknął i dwukrotnie stęknął. Tak, nie mylę się, to on! Spojrzałem na Jakima, kiwnął głową znacząco, bo i on poznał po głosie starego rogala. Szepnąłem wabiarzowi, by oddalił się na około 50 metrów w tył od mego stanowiska i zaczął ostrożnie wabić. Jakim wstał z wykrotu i oddalił się jak duch bezszelestnie. Tak potrafili chodzić po puszczy tylko najlepsi myśliwi, jakich kiedykolwiek znałem—poleszucy. Zostałem sam, nade mną Bóg wszechmogący, a dookoła mnie ukochana nade wszystko puszcza. I oto napływają do głowy stare wspomnienia i przeżycia myśliwskie a różne minione już bezpowrotnie chwile przesuwają się w wyobraźni.

Raptem wab Jakima przerwał moje myśli, stęknięcie było tak prawidłowe, że w pierwszej chwili nie mogłem się zorientować czy to głos łosia, czy człowieka. Po chwili łoś ryknął i do uszu moich doszedł trzask łamanej łozy. Buszuje — pomyślałem. Jakim znów zawabił, łoś milczy, znowu wab, łoś dwa razy stęknął, jakby zaczął się zbliżać, silnie buszując. Serce zaczęło mi bić jak młotem, odbezpieczyłem sztucer. O święty Hubercie, zmiłuj się nad sługą twoim!—modliłem się w duchu. Wabiarz dalej wabi. Co za wab wspaniały! Póki żyć będę nie zapomnę o tobie, stary przyjacielu, Jakimie. Czy żyjesz jeszcze?, a o ile św. Hubert powołał cię do krainy wiecznych łowów, niech cię nad Tuchowskim jeziorem ryk łosia do snu wiecznego kołysze.

Łoś odpowiada i silnie buszując zbliża się wolno w moim kierunku. Jest już niedaleko, zatrzymał się, nadsłuchuje, znowu parsknął, znów słychać trzask łozy, a Jakim znów zawabił i zaczął buszować po krzakach, naśladując buszowanie łosia. Raptem ryk potężny rozległ się po puszczy, zadrżała ziemia i z głośnym tętentem olbrzymi rogal wyłonił się z gęstwiny, waląc ostro w kierunku mego stanowiska. Złożyłem się, celując na łopatkę, huknął strzał i jednocześnie prawie olbrzymi zwierz runął ciężko na ziemię.

Zza krzaków wyskoczył czujny poleszuk, Jakim. Wyjąłem z torby manierkę spirytusu, pociągnąłem potężny łyk. — No, Jakim! „pogrzebowego"— rzekłem, podając mu manierkę. Przyłożył szyjkę do ust i za chwilę głośne bulgotanie było dowodem, że stary wabiarz nie pierwszy raz w swoim życiu pije „pogrzebowego". Podeszliśmy do łosia, już nieżył. Celna kula przeszyła mu serce. Olbrzymie cielsko i wspaniałe rosochy były niezapomnianym widokiem wśród zapadającej nocy.

Umilkły dalekie łosiowe waby, zrobiło się ciemno. Gdzieś od północy zerwał się wicher, wstrząsnął wierzchołkami drzew, zrzucając zżółkłe liście, pierwsze zwiastuny nadchodzącej jesieni. I żałośnie zaszumiała poleska puszcza, głosząc wieść żałobną o śmierci swego króla.

Ignacy Żagiell.



Powrót z rykowiska *rys. S. Rozwadowski*

JAN WIECZFFIŃSKI.

KARPACKI JELEŃ NA NIZINACH

Dwa lata przed ostatnią wojną polowałem w pierwszej połowie września na rogacze w pięknych, mieszanych lasach powiatu tłumackiego. Po uzgodnieniu z właścicielem terenów, gdzie będę polował, następnego dnia, około czwartej rano, byłem już w lesie. Konie pozostały w gajówce, sam zaś wolnym krokiem zdążałem, rozkoszując się cudownym powietrzem dookoło 35-hektarowego zrębu.

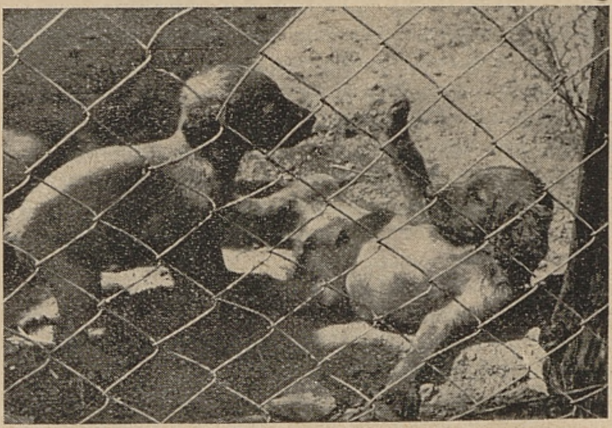
Gdym dochodził do zrębu, skrzydlaci mieszkańcy lasów gwarnie witali pierwsze promienie wychylającego się na horyzoncie słońca. Lekka mgiełka pokrywała zrąb, krzaki i trawy okryte były obfitą rosą, która mieniła się kolorami tęczy w promieniach coraz wyżej podnoszącego się słońca.

Stanąłem pod odwiecznym dębem, by zlustrować zrąb. Kilkanaście sztuk sarn pasło się spokojnie na zrębie. Sójka wyczuła niebezpieczeństwo — anonsowała wroga czy też myśliwego.

Szukałem zapowiadanych kapitalnych rogaczy i rzeczywiście, w bardzo dużej odległości, z drugiej strony zrębu, zobaczyłem przez szkła silnego rogacza. Kombinowałem jak podejść, by mieć dogodny, pewny strzał, gdy z gęstych wysokich traw, o kilkanaście metrów ode mnie, wysunęła się sarna z małymi, a w ślad za nią dobrze zapowiadający się widłak.

Znieruchomiałem.

Wtem sójki zaskrzeczały gwałtownie i nerwowo. Niepokój powstał wśród sarn, które, jakby na komendę, zwróciły swe cudne główki, obserwując z niepokojem ciemną ścianę lasu.



Młode irlandy z hodowli A. Sznerra

Zwróciłem również szkła w kierunku ściany lasu i zobaczyłem wychodzącego z gęstej drągowiny wspaniałego jelenia - dwunastaka, który majestatycznym

krokiem, jak książę ostępu, wyszedł na zrąb, by przywitać promienie życiodajnego słońca.

Byk stanął, węszył i dumnie spoglądał. Niezapomniana chwila w życiu. Podniosłem sztucer, umieściłem krzyżyk lunety na łopatce, przyśpiesznik naciągnięty, gotów byłem do strzału... jednak refleksja i etyka myśliwska, przemogły, bo termin ochronny dla jeleni mijał dopiero za parę dni...

Dumny książę lasu wolno przedefilował w odległości około 80 metrów, czując, że chroni go prawo (no, i etyka myśliwego) — po czym znikł w gąszczu przeciwległej ściany lasu. W ślad za nim skryły się również sarny.

Wróciłem bez strzału, upojony wspaniałym widokiem, no, i zadowolony, że zwyciężyły silna wola i posłuszeństwo prawom myśliwskim.

Właściciel lasu, gdym opowiedział o spotkaniu, zbeształ mnie, że nie strzelałem, gdyż sądził, iż za parę dni sąsiad, świetny myśliwy, jelenia na rykowisku na pewne ustrzeli.

Gdym wieczorem wybierał się znów do lasu, przyszła depesza, wzywająca mnie w pilnych sprawach rodzinnych. Wyjechałem nocą.

Marzyłem, iż w roku następnym przyjadę i zapoluję już na czternastaka, jeżeli jeleń przeżyje okres rykowiska tegorocznego. Los był dla niego łaskawy, dumnie chodził rok jeszcze w ostępie. Zdawało mi się, iż św. Hubert udzieli mi łaski ponownego spotkania.... niestety! Sprawy służbowe nie pozwoliły urzeczywistnić marzenia.

Dumny książe ostępu padł w czasie następnego rykowiska z ręki znawcy balistyki, inż. Jerzego Podoskiego.

Był to doskonały byk, o regularnym ciemnym wieńcu, a zszedł z Karpat w niziny — ściągnąwszy za sobą kilkanaście łań i jelonków.

Jesień 1939 roku i dla tej płowej gromady stała się tragiczną — padły wszystkie....

J. Wieczffiński.

JAN DOBRZYŃSKI.

W S P O M N I E N I E

Był wczesny mroźny ranek jesienny, wysrebrzony na polach silnym, nocnym przymrozkiem i wyzłocony wspaniałą gamą czerwieni, purpury i złota, okrywającymi przydrożne drzewa i boki drogi. Gdzieniegdzie tylko stały całkiem nagie jesiony, z których zielone jeszcze liście strącił minionej nocy ostry przymrozek; stały smętne i jakby zapatrzone w zalegające wokół ich pni, opadłe nagle liście; stały smętne jak wspomnienie myśliwego o minionym, nieudanym rykowisku.

Wózek toczył się po grudzie ze szklistym chrzęstem, krusząc cienką powłokę lodu na zamarzniętych kałużach. Widniejący w dali las w blasku wschodzącego słońca, w swym przepięknym kolorycie jesieni budził nowe nadzieje: a może dziś?

A potem owionął nas las odurzającym zapachem mchów, grzybów i zwiędłych liści, tym zapachem, który myśliwego upaja i jest zapowiedzią tajemnych, głębokich wzruszeń łowieckich.

A potem było stanowisko, obrane w wysokim sosnowym lesie, za pniem rudej sosny, z wąskim pasem łąki na przedpolu i linią młodników za łąką, pokrywających falisty teren, i z wysokim lasem, porastającym wzgórze na prawo od stanowiska. Chwile zadumy w ciszy boru, chłonięcie zapachu, barwy i ciszy lasu, z której wyrwał mię nagły wrzask sójki-zdrajcy leśnego.

Po chwili silny trzask łamanych gałęzi daleko z prawej strony, budzi szybką myśl: jelenie. Istotnie wyszły z młodnika przez łączkę i znikły za drzewami wysokiego lasu na wzgórzu. Z daleka tylko mignęło kilka sylwetek. Fala żalu z powodu niefortunnie wybranego stanowiska i rozgoryczenie na prześladującego pecha odbierają nadzieję. Lecz nagle serce zabiło gwałtownie, bo przy wychyleniu się wstecz, w wąskiej luce między pniami sosen, zamajaczyła wspaniała sylwetka byka; zatrzymał się na wzgórzu wśród sosen w odległości około 180 m. Widać piękną ciemną grzywę, przednią łopatkę i łeb z wieńcami, zwrócony podejrzliwie w stronę stanowiska.

Szybkie podniesienie lornety do oczu upewnia, że byk jest mocny, choć całego wieńca nie widać. Sztucer do oka, naciągnięcie przyśpiesznika, muszka na łopatce i strzał, po którym jeleń znika. Wszystko to trwało chyba ułamek sekundy. Raz tylko czy dwa w lukach między drzewami mignęły uciekające jelenie. Las wydał się nagle dziwnie pusty i w sercu pustka: żal chybionego byka i żal strzału, który poszarpał ciszę lasu.

Droga ze stanowiska do miejsca, gdzie stał jeleń, wydaje się dziwnie długa, trudno przy tym odnaleźć to miejsce z tej odległości. Lecz nagle radość ogromna; radość, którą tylko myśliwy pojąć zdoła, rozprasza poprzednie refleksje: na igliwiu wielka czerwona plama rozpryśniętej jasnej farby, wśród której widać kawałek płuca. Następuje tropienie z bijącym sercem ostatniej drogi byka i odczytywanie z tropów znaczonych rubinową farbą, ostatnich jego chwil: tu odbił się od chmary, przeskoczył rów, wszedł do młodnika, wspinając się na wzgórze, tu padł, lecz wstał i poszedł dalej w bok; farby na ziemi coraz mniej, widać ją już tylko na gałązkach sosenek, o które ocierał się. Po chwili i ten ślad ginie. Nie wiadomo co myśleć, zwątpienie znów ogarnia, lecz zawzięte szukanie doprowadza wreszcie do miejsca, w którym na tle zwiędłych wrzosów i mchu, wśród gęstej jedliny leży dwunastak, wspaniała harmonia siły, lekkości i wdzięku, zaklętych w piękny kształt kapitalnego jelenia.

I nie wiem co bardziej wzrusza czy piękno zwierza i otaczającej przyrody, czy radość z wspaniałej zdobyczy - nagrody za tyle trudów. Wiem tylko, że przyjmując z rąk leśniczego gałązkę jedliny, muszę się nisko pochylić nad moim bykiem.

Jan Dobrzyński.

Międzyrzecz Poznański, październik 1947 r.

JAN SZCZEPKOWSKI.

Z REZERWATU BOBRÓW

Rzeka Pasłęka, vel Passarga w Warmii, przewija się w wężowych skrętach w prastarej dolinie. Ciemne wody toczą się pod nawisami olch i świerków, suną w słonecznej przestrzeni wśród wysokich traw, aby za chwilę znów ukryć się w głębokim tajemniczym cieniu bujnych zarośli.

Fragment kanadyjskiej puszczy. Wymarzona kraina spokoju dla zwierząt, drżących ze strachu przed człowiekiem i drażniącym nozdrza wstrętnym jego „wiatrem".

Człowiek, wytrzebiwszy puszcze i zwierza, spostrzegł swój błąd i postanowił ratować ginące gatunki. Inicjatywa powstała w gronie przyrodników i leśników.

Wydział Ochrony Przyrody Ministerstwa Leśnictwa, pozostający pod kierownictwem doktora Stefana Jarosza, przy współudziale grona znawców przyrody, uznał dziki ten zakątek jako naturalny rezerwat i matecznik dla resztek niewytępionych jeszcze bobrów.

Bobry tutejsze zostały sprowadzone, jak twierdzą tutejsi mieszkańcy, z Kanady w 1926 — 7 roku. Ile bobrów po wypędzeniu Niemców zostało — nie wiadomo. Ustalenie liczby zwierzęcia, kryjącego się w no-



Osiki ścięte przez bobry

rach lub domkach o wejściu podwodnym, rozrzuconych na przestrzeni około 10 km, nie może być ścisłe. Można tylko określić ilość żeremi, to jest miejsc zajętych przez rodziny i z cyfry tej wnioskować o ilości ogólnej bobrów, biorąc pod uwagę naturalny przyrost. Na tych przesłankach oparto przypuszczalną liczbę bobrów dorosłych ponad dwadzieścia sztuk.

Młodzież do dwóch lat nie opuszcza rodzinnej nory lub domku, a że przybywa z każdej pary rocznie troje lub czworo młodych, więc rodzina staje się liczna. Rodzice znoszą obcięte gałęzie osiki lub olchy półmetrowej długości, a malcy, biorąc je w łapki, ogryzają z apetytem. Podobną sielankową scenę na kopule domku obserwować można, jeśli ktoś zechce cierpliwie czatować na wysoko położonym punkcie obserwacyjnym (np. na drzewie).

Ulubioną przez bobry osikę spotykamy nad Pasłęką dość rzadko, topoli nie ma zupełnie. Obecnie dyrekcja olsztyńska wprowadza sadzonki na teren rezerwatu. Olchy nie są tak liczne jak np. w przedwojennym Bobrówku Suskim, natomiast napotykamy często poogryzane sosny do wysokości metra. Ogryziona kora leży przy pniu drzewnym. Bóbr kory sosnowej nie spożywa, jest dlań zbyt sucha. Korę sosnową odgryzają tylko samice w okresie ciąży. Anormalny stan wywołuje żądzę spożywania cząstek żywicy, wydobytej z pod kory, jak twierdzi największy w Polsce znawca bobrów, doktór August Dehnel.

Głównym pokarmem tutejszego bobra są wodorosty długie i bujne, zawsze w rzece nieprzebrane, zimą równie jak latem dostępne, Pasłęka bowiem, dzięki bystremu prądowi, nawet przy najtęższych mrozach nie zamarza. Prócz tego w leśnych jeziorkach bóbr znajduje największy swój przysmak: długie i miękkie łodygi grzybienia vel nenufaru, oraz żółtych grążeli. Ma więc dość pożywienia, mimo to chodzi na niebezpieczne spacery rzeką, posuwa się aż ku morzu, ku Fryskiemu rozlewisku.

Wysoki brzeg rzeki Pasłęki pozwala kopać korytarz z wejściem, jak zwykle, ukrytym pod powierzchnią wody i wznoszącym się ku górze aż pod darniową nawierzchnię wybrzeża, gdzie jedna duża i sucha komnata stanowi wystarczająco bezpieczne i wygodne mieszkanie dla całej rodziny. Mieszkanie to częstokroć bywa zabezpieczone na darniowej nawierzchni wybrzeża wzgórkiem z obciętych gałęzi, przysypanych ziemią, jak np. w środkowym punkcie rezerwatu.

Tutejszy bóbr-pionier, w przyznanym mu rezerwacie, zbliżył się do ludzkiego pioniera naszych Ziem Odzyskanych.

Pionierów uważamy słusznie za ludzi mocnych, lecz z ową „mocą" idzie w parze bezwzględność dla zwierza. Pionierzy amerykańscy wytępili olbrzymie stada bizonów, nasi strzelają lub łapią „co się da". Nie wmawiajmy w siebie i w innych, że pionier walczy z trudnościami w imię idei, dla Polski takiej czy innej. Walczy on w interesie własnym i swego potomstwa, pragnie mieć egzystencję najwygodniejszą, czuje się uprzywilejowany w swej inicjatywie, sobiepanem na ziemi, którą pierwszy objął po wrogach. Pionier, zdobywający z trudem warunki prymitywnej egzystencji, ignoruje subtelne uczucia i odruchy, nie liczy się z etyką. Materialne korzyści są głównym bodźcem jego czynów.

Oczywiście są wyjątki. Starosta powiatu Braniewo komunikuje, że na terenie gminy Pełki — Młyn w lipcu roku zeszłego pojawiły się bobry na rzece Drwęcy, którymi zaopiekował się obywatel Kuźmiński.

* * *

Wycieczka do rezerwatu bobrowego w nadleśnictwie Kudyby, nad rzeką Pasłęką, odbyta tego lata, dała mi możność osobistego poznania nie tylko życia bobrów na tym terenie, lecz i osób, roztaczających nad nimi opiekę, a więc dyrektora olsztyńskiej dyrekcji lasów państwowych inż. Novaka, nadleśniczego, inż. Rudke i leśniczego ob. Zell, i co najważ-



Kanał do spławu pokarmu

niejsze—stwierdzenia, że opieka ta wynika nie z urzędowego powołania i nie tylko z roli, związanej ze stanowiskiem tych osób, lecz przede wszystkim z umiłowania przyrody, z troski o dalsze istnienie bobrów, rzadkiego ptactwa i łownego zwierza, wreszcie z etyki intelektualistów, walczących z ugruntowanym przez pokolenia barbarzyństwem samowolnych łowów.

Jan Szczepkowski.

B. JAGODZIŃSKI.

O SPOSOBACH POLOWANIA NA ZAJĄCE

(Artykuł dyskusyjny).

W związku z artykułem p. Włodzimierza Kierwińskiego „Kotły czy mioty", zamieszczonym w numerze 6 Łowca Polskiego z br., nasuwają mi się następujące spostrzeżenia:

Pamiętamy bardzo żywą polemikę na łamach Łowca Polskiego przed ostatnią wojną w sprawie polowania „w kotły" i „na pomyka". W sprawie tej zabierali głos wybitni myśliwi i w rezultacie doszli do wniosku, że sposób wykonywania polowania nie jest dostatecznym lekarstwem na podniesienie stanu zwierzyny (zajęcy), że jedynie opieka nad łowiskiem, ochrona, podkarmianie zwierzyny i odświeżanie krwi — to będą te dodatnie warunki, które gwarantują podniesienie ilostanu zwierzyny. Wreszcie polemika zakończyła się stwierdzeniem, że myśliwy może polować jak chce — oczywiście przestrzegając czasów ochronnych — byle etycznie.

Zdaje mi się, że tego twierdzenia nie należy udowadniać. Jeśli myśliwy jest istotnie przyjacielem zwierzyny i przyrody w ogóle i zasady etycznego polowania nosi w sercu, to rozporządzenia, dotyczące sposobów polowania na zające wyłącznie w kotły lub mioty, nie ma istotnego znaczenia. Życie daje nam bardzo dużo przykładów zachowania się myśliwych na polowaniu i żaden rodzaj polowania nie wykluczy ranienia zwierzyny, strzałów na dalekie mety czy nawet ewentualnych sporów o zwierzynę a właściwie o strzał.

Dla poparcia twierdzenia, że każdy sposób polowania może być uprawiany, lecz pod warunkiem, że wykonywujący polowanie są myśliwymi etycznie polującymi, podaję poniższe przykłady.

W roku ubiegłym zostałem zaproszony na polowanie „na pomyka", na obszar gromadzki około 500 morgów. Było nas trzech myśliwych i ubiliśmy łącznie 9 zajęcy, przy ilości ruszonych 47 sztuk. Drugim razem, ze względu na niepogodę, dwóch myśliwych ubiło na tym terenie tylko dwa zające, gdyż absolutnie nie dotrzymywały. Więcej na tym terenie w sezonie ubiegłym nie polowano. Ponieważ na pewno podczas pierwszego polowania na tym terenie nie wszystkie zające zostały ruszone, przeto ubicie 11 sztuk może stanowić zaledwie 1/5 część zajęcy z tego terenu, pozostawienie więc 4/5 zwierzyny dla rozmnoży jest ze względów hodowlanych zupełnie dostateczne, aczkolwiek polowanie wykonano „na pomyka".

Polując w zeszłym sezonie w kotły byliśmy świadkami następujących, godnych naśladowania faktów. Jeden z myśliwych ubił 3 zające i czwartego ranił z dubleta. Przy zakończeniu kotła ruszył piąty zając, do którego tenże myśliwy złożył się, ale nie strzelił, uznając, że strzał ponad 60 kroków jest za daleki. Po sygnale zakończenia kotła, myśliwy ów udał się z naganiaczem po postrzałka, którego odnaleziono. Wracając jednak do grupy myśliwych, którzy się rozchodzili do następnego kotła, natknął się ów myśliwy na szaraka, kierującego się w stronę lasu. Myśliwy, mając nabitą broń, gdyż szedł po postrzałka, spokojnie mierzy do szaraka, odprowadza go lufami i odkłada broń, wyjmując ładunki. Tak zachował się umyślnie, dając przykład, że zając, który nie ruszył podczas urządzonego kotła, niechaj zostaje na drugi sezon. W następnym kotle, po sygnale „naganka do środka", ruszył spod kotła, o kilka kroków od tegoż myśliwego, szarak, którego myśliwy odprowadził lufami, nie dając strzału, dla zaznaczenia, że skoro udało się temu szarakowi zostać poza pierścieniem myśliwych, niechaj żyje.

Powyższe przykłady ilustrują, że etycznie polujący myśliwy nie potrzebuje nakazów i rozporządzeń co do sposobów polowania. Prawo łowieckie nigdzie nie zawiera ograniczeń co do powyższych sposobów polowania. Rzeczywisty myśliwy, etycznie polujący, w żadnym łowisku, w swoim czy na terenie zaproszonym, nie będzie się dopuszczał czynów nieetycznych w stosunku do zwierzyny i myśliwych, bez względu na to czy będzie sam na polu, czy w gronie towarzyszy.

Jeśli przy odległości linii myśliwych od naganki 500 — 1000 metrów, wysuniemy myśliwych na skrzydła, a z drugiej strony, choćby częściowo obstawimy boki także przez naganiaczy, to przecież to będzie sposób polowania bardzo zbliżony do polowania w kotły. A bez obstawiania boków polowanie takie byłoby tylko zabawką w imitację polowania.

A już wybierać linię, tak jak radzi autor „dającą możność częściowego zamaskowania się, a więc drogi, miedze, rowy, skraje lasów", to w stosunku do szaraka będzie tym samym, co tak satyrycznie ujął Z. Kowalski, pisząc o myśliwym pobożnym, czyli „Dewocie". Uwaga zaś, że szereg kółek łowieckich praktykuje takie polowania „miotowe" w polu i ma lepsze rezultaty, niż w kotłach, to jest większy rozkład, przeczy założeniu dążności autora do podniesienia stanu zwierzyny, gdyż jest bardziej wyniszczający.

Ze swej praktyki myśliwskiej (45 lat) stwierdzam, że polowania sposobem pędzeń w lesie są zupełnie wskazane, gdyż inaczej na drobną zwierzynę polować się nie da, a w polu kotły nie powodują ujemnych skutków dla hodowli zwierzyny ani kompromitacji dla myśliwego, o ile myśliwy jest rzeczywiście etycznie polującym.

Sądzę, że właśnie w kółkach łowieckich jest możność wyrobienia etyki łowieckiej wśród myśliwych, tak jak wyżej wskazałem na przykładach. Obecne egzaminy łowieckie mogą bardzo dodatnio wpłynąć na poziom, ale zakaz polowania w kotły, a tylko pędzenia, czyli jeszcze jedno dodatkowe i niepotrzebne skrępowanie prawidłowego myśliwego i kółek myśliwskich (bo przecież cóż sobie będzie robił z takich zakazów nieetyczny myśliwy) — jest posunięciem zupełnie zbędnym i błędnym.

B. Jagodziński.

Jeszcze w sprawie polowań w „kotły" i „na pomyka".

W dn. 26 czerwca br. odbyło się w Inowrocławiu plenarne posiedzenie Kujawskiego Koła Łowieckiego przy udziale 126 członków z całego powiatu, któremu przewodniczył prezes Koła, a zarazem Łowczy Powiatowy, kol. Sobczak.

Głównym przedmiotem obrad była sprawa ewentualnego zakazu polowań „na pomyka", „ławą czeską" i „w kotły", a przejście na system „miotów". Znaczna większość obecnych myśliwych wypowiedziała się za utrzymaniem dotychczasowych sposobów polowań ze względu na specyficzne warunki terenowe Kujaw, pozbawionych pokrycia leśnego i posiadających odrębną rzeźbę terenu. Na Kujawach poluje się z dużemi nagankami, przeciętnie 3 do 5 naganiaczy na myśliwego, co pozwala zającom wychodzenie między naganiaczami i nie powoduje wybijania zwierzyny. Brak ujemnych cech, przypisywanych polowaniom „w kotły", potwierdza ciągle wzrastający ilostan zajęcy.

Polowań „ławą" nie można stosować na Kujawach z powodu braku większych przestrzeni, wolnych od zabudowań.

Za utrzymaniem polowań „na pomyka" przemawiają względy następujące: tresura psów myśliwskich wszechstronnych, które stanowią na Kujawach poważną gałąź hodowli, oraz demokratyzacja łowiectwa, otwierająca doń dostęp szerokim, a niezamożnym kołom myśliwych, dla których ten rodzaj polowania jest jedynie dostępny.

Po dłuższej wymianie zdań, większość obecnych na zebraniu uznało jednak, że system ten, możliwy na własnym łowisku, jest nie do przyjęcia na terenach wspólnych.

Inż. dr JAN PODGÓRNY.

WOJNA Z ZAJĄCAMI

Za mało dotąd wojen było, mamy jeszcze jedną. Oto waleczne bractwo ogrodnicze wypowiada wojnę— zającom. Wytępić, wybić!...

Spróbujmy przeciwstawić tej wojnie łagodną perswazję, popartą rzeczowymi argumentami.

Od wiek wieków były zające i były sady. Sadów mało przybywa, bo je gnębią ludzie i mrozy, zajęcy też jest mało, bo je gnębią zdziczałe wojenne i powojenne instynkty hordy ludzkiej...

Sady stanowią poważną rubrykę w gospodarce kraju, ale może niemniejszą rubryką majątku narodowego jest zwierzyna.

Cóż to się stało, że nagle odkryto, iż te dwie wartości nie mogą — jak dotąd — koło siebie swobodnie istnieć i rozwijać się?

Z prof. Tomkiewiczem i z redaktorem Gładyszem spędziłem przed laty wiele miłych chwil na przetrawianiu różnych problemów ogrodniczych. O takich atoli krwiożerczych sposobach nie było nigdy mowy. Jednostronnymi, łatwymi akcjami możnaby szybko osiągnąć tanie efekty, ale pozostałaby pustynia w przyrodzie, w której zawsze ktoś komuś zawadza. A już Zaratustra mówił, że nie masz w przyrodzie rzeczy niepotrzebnych.

Sam mam 10 ha sadu nieogrodzonego. I nie zające mi go niszczą (bo na to nie pozwolę) — jeno mróz, wojna i... ludzie. Znajdźmy na to lekarstwo — ale zostawmy w spokoju zające i otoczmy je opieką. Otoczmy też należytą i fachową opieką sady!

O jakie zresztą sady chodzi? Przy domowym trzeba dać ogrodzenie i baczyć, by w nim nie było dziury... A przecież przy drogach kilometrami rosną drzewa owocowe na otwartych przestrzeniach w zgodnej na ogół symbiozie z zającami! Nieogrodzone pienne drzewa owocowe musi się zaopatrzyć w druciane mankiety, podciągając je w górę po opadach śnieżnych. Jeszcze u nas śniegi koron nie dosięgają. Kto tego robić nie chce, niech drzewa okręca np. słomą lub wedle rad prof. Tomkiewicza smaruje pnie cuchnącymi preparatami karbolinowymi lub ludzkimi, choć wiem z doświadczenia, że to nie wiele pomaga...

Kto chciałby sadzić drzewa karłowe lub prowadzić szkółki drzewek bez solidnej siatki drucianej, byłby arcynaiwnym mężem, niegodnym prenumerowania tarnowskiego „Hasła Ogrodniczego". Takiemu optymiście nie pomogłaby i zagłada wszystkich zajęcy na świecie.

Nie tędy więc droga! Wojna wypowiedziana zającom jest wprost śmieszna. Właściciele drzew owocowych muszą je pielęgnować, ochraniać, ogradzać... Myśliwi zaś muszą sie starać uświadomić ich, że zaopatrywanie pozostawionych w tych ogrodzeniach dziur **wnykami** — jest nieetyczne. Natomiast etyczne i ludzkie jest w czasie ciężkich zim rozrzucanie poza szczelnymi ogrodzeniami garści siana i zawczasu przygotowanych wiązek naciętych gałązek.

Takie postępowanie zgodne będzie z interesem społecznym i... z naszym sumieniem

Jan Podgórny.



Zebranie Koła Łowieckiego „Dzik" w siedzibie P. Z. Ł.

OBCHÓD 25-lecia PZŁ W BIAŁEJ PODLASKIEJ

W związku z obchodem 25-lecia PZŁ i Bialskiego Powiatowego Towarzystwa Łowieckiego w Białej Podlaskiej, odbyły się z inicjatywy Rady Powiatowej następujące uroczystości i imprezy:

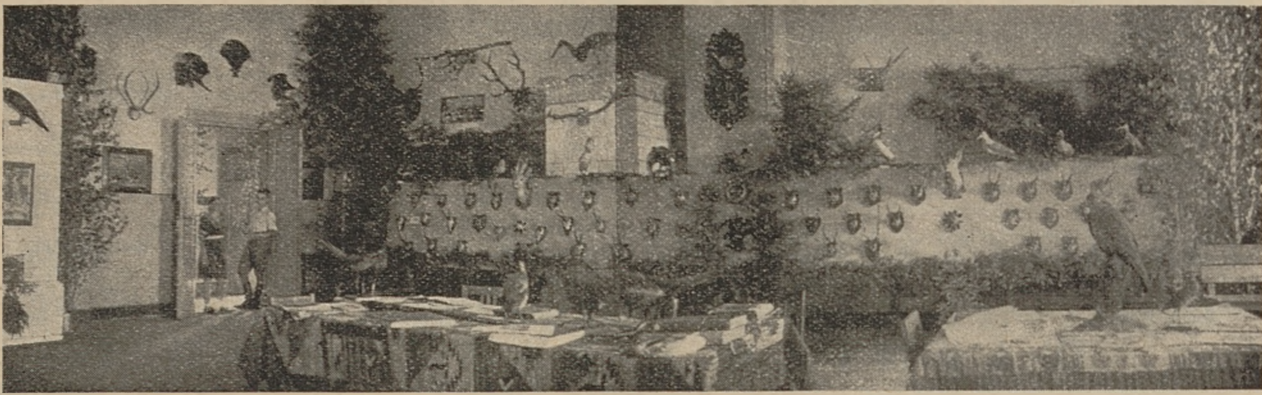
Dnia 22 lipca br. Msza Święta w kościele Św. Antoniego, odprawiona przez wielkiego sympatyka łowiectwa, ks. Kowalika. Po Mszy nastąpiło poświęcenie siedziby Powiatowej Rady Łowieckiej i Bialskiego Powiatowego Towarzystwa Łowieckiego przy ul. Janowskiej 16, składającej się z trzech obszernych izb. Poświęcenia siedziby i obrazu Św. Huberta dokonał również ks. Kowalik, wygłaszając do zebranych krótkie przemówienie. Następnie zebrani udali się do gimnazjum żeńskiego, gdzie starosta powiatowy, Mieczysław Jemielniak, po okolicznościowym przemówieniu,

dokonał otwarcia Powiatowej Wystawy Łowieckiej, która trwała do dnia 25 VIII br.

W dniu 24 lipca, przy dużej frekwencji, odbyła się myśliwska zabawa taneczna.

Udział w uroczystościach z ramienia PZŁ brał kol. Stanisław Czerski.

Powyższe imprezy osiągnęły wytknięty cel, tj. zainteresowanie społeczeństwa sprawami łowiectwa.



Z wystawy w Białej Podlaskiej

LUBOMIR SMYCZYŃSKI.

WRAŻENIA Z WYSTAWY PSÓW WE WROCŁAWIU

Słowa uznania należą się Związkowi Kynologicznemu za zorganizowanie pierwszej powojennej wystawy i konkursu psów, zamierzonych, jako impreza ogólnokrajowa. Niestety, zamiar ten nie doczekał się pełnej realizacji. Winę ponosi niewątpliwie brak propagandy i kontaktu z prasą, a może i zbyt ekscentryczne położenie Wrocławia do reszty kraju. Dlatego też poza stosunkowo liczną grupą wystawców warszawskich i z natury rzeczy wrocławskich, wystawa była słabo obesłana.

Ogólnie wystawa pokazała nam naocznie jak wielkie zniszczenia poniosło psiarstwo w Polsce przez wojnę i okupację. Wiele ras wogóle nie było reprezentowanych, a skala wartości eksponatów była duża — od niestety nielicznych okazów bardzo dobrych, do psów, które wogóle się na wystawę nie nadawały.

Wystawa znalazła swe pomieszczenie na terenie ogrodu zoologicznego i praktycznie wykorzystano klatki drapieżców, przerobiwszy je ad hoc na boksy wystawowe. Oszczędność z tym związana była niewątpliwie duża, lecz wystawcy okupili to znaczną niedogodnością w przystępie do boksów.

Organizatorzy wystawy cieszyli się szczególnymi względami św. Huberta i św. Rocha, których patronat zapewnił pogodę w czasie trwania wystawy, bowiem nawet przelotny deszcz spowodowałby w tych warunkach niezwykłe trudności. Odczuć dał się również brak dozorców i służby porządkowej, któraby pilnowała psów pod nieobecność właścicieli i dopilnowała doprowadzenia ich na czas na ringi, które niestety również nie były ogrodzone, przez co publiczność utrudniała sędziom zadania. Szkoda również, że do katalogów nie dołączono dodatkowego spisu, któryby pozwolił zorientować się odnośnie psów zgłoszonych po wydrukowaniu katalogu.

Stosunkowo najliczniej były reprezentowane psy myśliwskie. Przedstawiały one materiał bardzo niejednolity, który mam nadzieję zostanie bliżej omówiony przez Jury tej grupy i dlatego ją pomijam.

Dość liczną była następnie grupa owczarków, które niestety, w większości daleko odbiegały od obrazu idealnego wzorca.

Pogłowie wystawionych psów wykazało — co zresztą charakteryzuje większość owczarków powojennych — psy stosunkowo słabe, bez kośćca, o płytkiej piersi i złej akcji. Zjawisko to jest wprost alarmujące i o ile nie nastąpi rozsądna selekcja, rasie tej w Polsce grozić musi wyrodzenie się. Zdaje się, że obecni amatorzy, a może tylko przypadkowi posiadacze psów tej rasy, nie wiedzą o tym, że owczarka charakteryzuje typowy chód „truchtem" i dlatego coraz więcej widzi się psów typu „galopena", co jest niebezpiecznym wykolejeniem z właściwego toru hodowli.

Całkiem korzystnie przedstawiały się zespołowo jamniki, choć wspomnieć wypada, iż poza wystawą okazyjnie spotkać można na ulicach egzemplarze piękniejsze, częstokroć w rękach przypadkowych posiadaczy psów, zapewne poniemieckich, których obecni właściciele być może nawet nie wiedzą o wartości swych pupilów.

Dwa foxteriery ostrowłose, oba typowe — szkoda tylko, że jeden z nich z bielmem na oku, a drugi przekraczający wzrost pożądany w tej rasie.

Zarówno one, jak i doskonały szkocki terrier i wprost przepiękny airedale-terrier nie były w wystawowej kondycji sierści. Na tym polu panuje całkowita nieznajomość pielęgnacji, bo „strzyżenie" to nie jest „trymowanie".

Jedyny nowofundlandczyk, bardzo typowy, nasuwa tylko wątpliwość, czy skłonność do wysokiego noszenia ogona nie powinna była obniżyć oceny.

Zastrzeżenie budziły również pudle, które oba — choć z różnych stron Polski — wyglądały jak bracia. Są to niewątpliwie psy ładne, lecz mało szlachetne i nietypowe, a jeszcze brak właściwej fryzury podkreślał ich pewną przyciężkość i nasuwały się wątpliwości czy nie miały one w sobie krwi Schafpudla, względnie nawet owczarka rosyjskiego.

Jedyna na wystawie bokserka — chyba tylko dzięki brakowi konkurencji, uzyskała tak korzystną ocenę, bowiem przedstawiała typ zbyt ciężki, taki, jaki był ceniony przed 30-tu laty.

Na obszerniejszą wzmiankę zasługuje grupa dogów arlekinów. Tu jeszcze silniej niż przed wojną okazało się, jak trudno jest wyhodować dobrego doga o poprawnej maści. Pokazane psy, wszystkie były mierne i nie przynosiły chluby swej rasie. Przy ocenie ich zaszła chyba jakaś pomyłka. Ostatni standard niemieckiego klubu dogów z 1932 r. wyklucza od premiowania arlekiny szare. Ten standard był w Polsce opublikowany — poza książką dr. Manna, uwzględniającą odnośne uchwały niemieckie — w czasopiśmie „Mój

pies" w nr. 4-ym z 1933 r., a specjalny artykuł o rodzajach maści dopuszczalnych u dogów zamieścił płk. Blocki w nr. 6-ym tego pisma z 1938 r. Nie wydaje mi się by można było oceniać w Polsce psa wg. innych kryteriów, niż ustalonych przez jego kraj ojczysty, a zbyt tolerancyjna ocena szkodzi hodowli, nie eliminując egzemplarzy niepożądanych.

Nie chcąc przekraczać ram artykułu, zakreślonych mi przez redakcję, pominę dalsze uwagi, nasuwające się przy ocenie innych psów, lecz wspomnieć wypada pokrótce o grupie pekińczyków. Pokazane pieski, z wyjątkiem jednego, odbiegającego od typu, były więcej niż dobre. Mimo rzeczywiście dobrej budowy nie zaprezentowały się one w czasie oceny dobrze, bowiem wystawczynie nie zadały sobie trudu, by pieski nauczyć należytego chodzenia. Jedną z charakterystycznych cech tej rasy jest chód „toczący", a tego na stole sędziowskim ocenić nie można, trudno zaś wymagać od sędziów, by czekali, aż dany pupilek zdecyduje się przespacerować, by pokazać swą budowę i ruchy. Nawet najmniejszy salonowiec musi umieć chodzić na ringu, bez tego ocena nie jest praktycznie możliwa.

Pod koniec wystawy odbył się pokaz psów służbowych milicji, który zyskał duże uznanie licznej publiczności. Pokaz ten miał na celu zapoznanie publiczności z pracą psa służbowego i zadanie to spełnił. Znawcy psa służbowego nie byliby może zachwyceni techniką pracy i prowadzeniem psów — lecz i tu widać braki powojenne zarówno u młodych psów, jak i u zapewne niezbyt długo w tej dziedzinie pracujących przewodników.

Mimo wspomnianych usterek, należy pogratulować organizatorom urządzonej imprezy i życzyć Związkowi Kynologicznemu, by przyszłoroczna wystawa zgromadziła więcej i lepszych eksponatów.

L. Smyczyński.

Katowice, ul. Kościuszki 47.

WAPNIAK U BAŻANTÓW

Wapniak jest plagą spotykaną bardzo często wśród bażantów. Powodowany jest przez świerzbowiec z rzędu roztoczy (Chemidocoptes mutans), który umieszcza się pod łuskami na nogach bażantów, indyków, gołębi i kur. Świerzbowiec ten wywołuje ból, swędzenie, obrzęki stawów, trudności w chodzeniu a także wpływa ujemnie na samopoczucie ptaka i na nośność. Wydzielina świerzbowca, w połączeniu z surowicą, daje pokrywę jakby wapienną i stąd nazwa choroby „wapniak".

Dolegliwość tę można rozpoznać w stadium początkowym po odstających łuskach, w dalszych stadiach po twardej skorupce wapiennej, okrywającej nogi.

W pierwszym stadium można leczyć, stosując smarowanie dziegciem lub karbolineum. Smarujemy na noc nogi w miejscu zaatakowanym, po dwu dniach zmywamy benzyną, czynności te powtarzamy 3 lub 4-krotnie.

Jeśli nogi bażanta pokryte są skorupką wapienną, konieczne jest usunięcie tej pokrywy. Czynimy to przez odmoczenie nóg w ciepłej wodzie z sodą lub szarym mydłem przez 10 — 15 minut. Można również zamiast moczenia stosować przykładanie szmatek, napojonych gliceryną.

Po odmoczeniu stosujemy smarowanie dziegciem, karbolineum lub doskonałą wskutkach maścią, której przepis poniżej:

85 części wazeliny,
15 części balsamu peruwiańskiego,
2 — 3 krople kreoliny.

Prócz tych zabiegów konieczne jest dokładne sprzątnięcie wolier, a kojce, potrzebne do wysiadywania jaj bażancich, winne być utrzymywane w bezwzględnej czystości. Kury czy indyczki, wysiadające jaja bażancie, winny być dokładnie zbadane czy nie są przypadkowo zakażone wapniakiem, gdyż w przeciwnym wypadku bardzo łatwo mogą przenieść świerzbowca na młode pokolenia bażantów. Tak kojce jak i budki w bażantarni winny być otoczone bezwzględną czystością.

Julian Karolini.



„ZIELONOGŁOWY"— Mieczysław Mniszek Tchorznicki, nakładem Spółdzielni „Jedność Łowiecka", Warszawa 1948, str. 93.

W estetycznej szacie zewnętrznej, z dobrymi ilustracjami, ukazało się miłe opowiadanie kol. M. Mniszek-Tchorznickiego, mające za cel przedstawienie kolei życia, od urodzenia do śmierci, kaczorka-krzyżówki. Z umiłowaniem przyrodnika, a ze znawstwem ornitologa opisuje autor urodziny małego kaczorka w gnieździe ukrytym w stercie siana, jego pierwsze kroki w otoczeniu młodszego rodzeństwa, grożące im niebezpieczeństwa, którym niezawsze zapobiec mogła troskliwa mama.

Ale oto kaczorek wyrósł, stał się naprawdę „Zielonogłowym", a wraz z tem poznał tęsknotę za miłością, zazdrość w stosunku do towarzyszów i upojenie przychylnością wybranki. Parę miesięcy szczęścia rodzinnego zakłóca wtargnięcie w życie kacze myśliwego. Tu autor próbuje spojrzeć na łowiectwo od strony zwierzyny. Przedstawia strach ptaka przed myśliwym, opisuje pomysłowe sposoby ochrony życia, ból z powodu zranienia postrzałem, długie tygodnie męczącej rekonwalescencji.

Barwnie przedstawia autor poddanie się „Zielonogłowego" instynktowi wędrówki ptaków. Wraz z licznym stadem towarzyszów rusza on na południe, pierwszą zimę spędza w Szwajcarii, otrzymuje strzał myśliwca, łamiący mu skrzydło, stopniowo powraca do zdrowia i odlatuje na wiosnę do kraju rodzinnego.

Na zimę następną wybiera „Zielonogłowy" drogę na wschód południowy. Tu w idealnych warunkach zacisza i obfitego pożywienia spędza rok cały, ale nie może opanować tęsknoty i wraca do kraju ojczystego.

I oto znowu zostaje przez myśliwego postrzelony, wraca tylko powoli do zdrowia. Przeszło jeszcze lat parę, „Zielonogłowego" sięga raz jeszcze strzał myśliwego — tym razem już ostatni. Nad śmiertelnie rannym kaczorem zamknęły się liście nenufarów i pogrzebały go w żywiole wodnym.

Książeczka kol. Mniszek - Tchorznickiego stanowi również doskonałą lekturę dla młodzieży.

J. Gieysztor.

STANISŁAW SOBON.

(Śmierć na posterunku).

W dniu 29 sierpnia 1948 r. zginął tragicznie w leśnictwie Sierakowo, nadleśnictwa Karnieszewice, dyrekcji lasów państwowych okręgu bałtyckiego, leśniczy Stanisław Soboń. Został on skrytobójczo zamordowany przez kłusowników. Gorliwy hodowca zwierzyny i tępiciel kłusownictwa padł w obronie polskiego zwierzostanu i piękna lasu, osierocając żonę i dwoje nieletnich dzieci. Cześć jego pamięci!

Druk i klisze – Wojskowy Instytut Geograficzny Al. Jerozolimskie 55. R. W. 1464. – X. 48. 32.000. –B–59935

Do piszącej braci myśliwskiej.

Regularnie co roku zamieszczamy w Łowcu Polskim odezwy do autorów-myśliwych, nadsyłających prace do naszego pisma, z nawoływaniem do nadania im takiej formy zewnętrznej, która umożliwiłaby pracę redaktorską, a odpowiadała słusznym wymaganiom drukarni.

Odezwa ta nie była uwzględniana przez wielu autorów. Wobec coraz większego napływu materiału i konieczności uregulowania tej sprawy, zapowiadamy, iż na przyszłość prace nie odpowiadające poniżej powtórzonym wymaganiom, nie będą rozpatrywane. Nie będą też odsyłane autorom o ile nie nadeślą znaczków pocztowych na pokrycie porta.

A więc:

1. Artykuły muszą być pisane **na maszynie.**
2. Tekst należy pisać **jednostronnie**, co ułatwia pracę składaczowi (zecerowi) oraz umożliwia robienie poprawek, względnie zmianę kolejności ustępów.
3. Pisać na maszynie należy **z interliniami**, tj. z odstępami pomiędzy wierszami, aby umożliwić wprowadzenie poprawek.
4. Należy zostawiać z lewej strony **marginesy** do poprawek, względnie do uwag dla drukarni.

Redakcja.



Do nowoprzybyłych członków P. Z. Ł.

Myśliwi, którzy zgłosili przystąpienie do Związku po 1-m lipca, uzyskują prawa członkowskie, w tem i prawo do otrzymania organu związkowego „Łowiec Polski", dopiero od tej daty. Pismo nasze, uzależniając swój nakład od ilości członków, którzy opłatę członkowską uiścili, drukowane było w pierwszem półroczu w ilości 25 tysięcy egzemplarzy. Wobec nieoczekiwanego, a spóźnionego napływu nowych członków, podnieśliśmy nakład z dniem 1 lipca do 30 tysięcy egzemplarzy, ale już nie jesteśmy w stanie dostarczyć im 6 zeszytów z pierwszego półrocza, całkowicie wyczerpanych.

Komunikując o powyższem, prosimy członków, których adresy wpłynęły do Redakcji po 1 lipca, o zaniechanie reklamacyj z powodu niedostarczenia im zeszytów od 1 — 6-go, gdyż jest to bezcelowe i pozostanie bez odpowiedzi.

Przypominamy, że za każdą zmianę adresu uiszczać należy Redakcji 25 zł. na wykonanie nowej kliszy.

Redakcja.

CENY OGŁOSZEŃ

Za ogłoszenie jednorazowe, zajmujące całą stronę odkładki lub za tekstem, pobiera się 15.000 zł., za ¾ strony — 12.000 zł., za ½ strony — 9.000 zł., za ¼ strony — 6.000 zł., za ⅛ strony — 3.000 zł.

Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne prywatne zwykłym drukiem—po 15 zł. za wyraz, grubym drukiem—30 zł. za wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego, Dyrekcje Lasów Państwowych oraz Zarządy Państwowych Nieruchomości Ziemskich korzystają ze zniżki 50%, jeżeli ogłoszenia są nadsyłane bezpośrednio do Redakcji.

Redaktor — prof. J. Gieysztor. Warszawa, ul. Nowy Świat 35, tel. 825-29.

Wydawca — Polski Związek Łowiecki.